Wpisano do kontrolki periodyków
10 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 4 VI 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 5. VI. 1960 r.
Nr 22 (118)
Cena 1 zł

To nie para aktorów z włoskiego filmu. To aktorzy... z Łodzi. O nich czytaj na str. 12 ● Dalszy ciąg pamiętnika Chessmana na str. 3 ● O nowej sekcie na str. 4.

JERZY ŁAŃCUT

MEGAWATY w worku ŻYTAWSKIM

Budowa Kombinatu Paliwowo - Energetycznego Turów (w skrócie KPE — Turów) wymaga przesunięcia większych ilościowo mas ziemnych, niż budowa Kanału Sueskiego.

Jedni nazywają to krótko — Turowem, inni — „workiem żytawskim", jeszcze inni zagłębiem turoszowskim. Jest jeszcze jedna nazwa zrodzona wśród złośliwców — „księstwo turoszowskie".

Jakkolwiek by nie nazywano — faktem jest, że tu dzie granica naszego kraju tworzy półwysep wciśnięty między NRD a Czechosłowację powstaje obiekt przemysłowy podstawowego znaczenia, decydujący w dużej mierze o realizacji efektów całego pięcioletniego planu gospodarczego.

Nieomal wszystko dzieje się tutaj na miliony i miliardy. Ludzi i problemy — na tysiące..

Pozóstawmy sceptyków ich losowi

Nie brak ich w naszym kraju. Spotykamy ich wszędzie. Domorośli „specc", zapoznani eksperci, tacy co to „proszę pana, w głowie się nie mieści, a oni i rozsądku nie słuchają...'

W bieżącym roku minęła 220 rocznica eksploatacji złóż turoszowskich. Albowiem w roku 1740, za czasów panowania króla polski i Saksonii — Augusta II Mocnego — zaczęto tu kopać węgiel brunatny.

Jak to? W dobie atomu uzależniać funkcjonowanie największej elektrowni od tak nędznego paliwa jak węgiel brunatny? I dlaczego tak daleko od ośrodków przemysłowych? Dlaczego w tak m zapadłym kącie, dokąd trudno nawet jest trafić?...

A dlatego — proszę sceptyków — że:

Aby jak najszybciej wyrównać deficyt energii elektrycznej i znacznie podnieść przyrost mocy energetycznej, niezbędnej dla rozwoju wielkiej chemii i innych gałęzi przemysłowych, potrzebne są tysiące MW, MW i jeszcze raz MW, czyli megawatów (1 MW = 1000 kilowatów).

Niebo nad Zagłębiem Turoszowskim przekreślone jest takimi właśnie konstrukcjami

1200 MW — to energia wystarczająca dla zaspokojenia potrzeb ludności (bez przemysłu 50 miast wielkości Warszawy. 1200 MW — to 71 % mocy zainstalowanej w Polsce w 1938

Aby wybudować wielką elektrownię, która mogłaby sprostać tym zadaniom na tradycyjnym paliwie — trzeba byłoby wybudować nowe kopalni węgla kamiennego. Budowa kopalni trwa minimum 10 lat. Niesłychanie ważną sprawą jest woda. Gigant na miarę turoszowskiego zużywać będzie „tylko" 6 milionów litrów wody na godzinę. Gdzie znaleźć takie miejsce w centralnej Polsce?

Złoża zagłębia turoszowskiego wynoszą około 800 mln. ton węgla brunatnego. Zalegają całą niecką ł tawką na niedużej głębokości, co pozwala na stworzenie obok już istniejącego Turowa I — olbrzymiej kopalni odkrywkowej Turów II łącznej wydajności 1" mln. ton rocznie. A woda? Nysa jest jej dostawcą.

Transport ziemi na hałdy oraz węgla do elektrowni odbywać się będzie przy pomocy taśmociągów. Szybkość biegu taśm wyniesie — 18 km/godz. Taśmociągi których długość wyniesie 75 km przenosić będą w pełnym ruchu Turowa I i Turowa II około 50.000 ton węgla i około 200.000m³ ziemi (nadkładu) dziennie.

Już w IV kwartale 1962 r. popłynie energia o mocy 200 MW z elektrowni turoszowskiej. A w roku 1965 — uruchomiona zostanie pełna moc — 1200 MW. Nakłady inwestycyjne w wysokości ok. 11 miliardów złotych (kopalnia + elektrownia + inwestycje towarzyszące) zamortyzują się w ciągu 25 lat. Następne lata to czysty zysk.

Przy pełnej zdolności produkcyjnej kombinatu roczne zużycie węgla wynosić będzie: elektrownia — 11 milionów ton, eksport — 5,5 miliona ton, krajowy rynek opałowy — 1 milion ton.

(Ciąg dalszy na str. 6)

JERZY WILMAŃSKI

W poszukiwaniu mecenasa

Punktem wyjścia numer jeden niniejszych rozważań będzie interesująca wystawa w Ośrodku Propagandy Sztuki pod nazwą „Łódź w plastyce". Okazało się bowiem, że Łódź można malować, że zadymione nienajczystsze miasto posiada wiele urzekającego artystów piękna.

Punktem wyjścia numer dwa będzie zorganizowane na tejże wystawie z inicjatywy Komitetu Łódzkiego Partii spotkanie władz partyjnych z dyrektorami przedsiębiorstw przemysłowych Łodzi. I cóż się okazało? Otóż okazało się, że gdyby nie brak u dyrektorów książeczek czekowych kilkadziesiąt obrazów powędrowałoby natychmiast do przyzakładowych świetlic i domów kultury. Oczywiście nic straconego — i tak się tam znajdą. Karteczki z napisem „zakupiono" zdobią co najmniej połowę eksponowanych prac.

I tutaj rozpoczyna się rozważań część zasadnicza. Problem mecenatu jest po dziś dzień problemem żywym.

Jak dotąd mecenasami — mówiąc ogólnie — łódzkiej plastyki są wyłącznie Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Rada Narodowa. Są to mecenasi niejako z urzędu, i powiedzmy sobie od razu, że nie są to mecenasi najbogatsi i najhojniejsi.

Natomiast potencjalny a bogaty mecenas, jakim jest przemysł ze swoimi niemałymi funduszami „na kulturę" zachowywał w sprawach plastyki uporczywy dystans.

Czemu tak się działo? Sprawa jest raczej prosta. Jeśli przyfabryczna świetlica kosztem iluś tam tysięcy złotych ma zostać udekorowana obrazami przedstawiającymi li tylko przysłowiowe pomoki od rowerów z okiem byka to już lepiej niech portfel zostanie pełny a ściany puste. I trzeba przyznać, że podobne rozumowanie nie jest wcale pozbawione racji.

I tu dochodzimy do zagadnienia użyteczności społecznej plastyki. Doraźne oddziaływanie społeczne skrajnie awangardowych kierunków, niezależnie od ich obiektywnej artystycznej wartości, jest oględnie mówiąc, niewielkie. Kompozycja taszystowską czy niedbale spawane puszki po konserwach wrażliwości na piękno w przeciętnym odbiorcy nie wyrobią, nie nauczą go patrzeć na obraz, nie nauczą go odróżniać kiczu od dzieła wartościowego.

Jeśli do dziś na Sienkiewicza, Gdańskiej czy Bałuckim Rynku prywatne sklepiki z przerażająca szmirą w złotych ramach mają niemałe powodzenie, to winę za to ponoszą na pewno w jakimś stopniu sami plastycy.

Proszę mnie źle nie rozumieć. Oczywiście nie ma mowy o jakimkolwiek ataku na prawo do eksperymentu, na zachodnie czy inne nowinki. Tak zwane malarstwo nowoczesne na pewno nie jest aż tak pozbawione sensu jakby się nieraz pozornie wydawało. Trudno jednak wymagać od szerokiego odbiorcy, aby je bez zastrzeżeń i natychmiast akceptował.

Wypada jednak wrócić do Parku Sienkiewicza, gdzie w Ośrodku Propagandy Sztuki łódzcy plastycy dali nam ekspozycję na wysokim poziomie artystycznym, ekspozycję o niemałej wartości społecznej.

I oto znalazł się natychmiast mecenas, który zadeklarował takiej plastyce pomoc. Mecenasem tym, jak się rzekło na wstępie, są łódzkie zakłady pracy. A pomoc (wyrażająca się przede wszystkim w zakupach) jest

Dokończenie na str. 4

TADEUSZ GUTKOWSKI

Zbiorowe zjadanie żaby

Przeczytałem trzy pierwsze wypowiedzi. Zdaniem autora pierwszej, sport to swoista forma „kozietulszczyzny", a zatem pasuje do naszego narodowego charakteru. Autor drugiej Wojciech Giełżyński) snuje katastroficzne zgoła rozważania na temat hipertrofii wyczynowości, która położy kres uprawianiu sportu przez maluczkich. Autor trzeciej wreszcie (Wiesław Górnicki), informując na marginesie niejako że nie jest konformistą, deklaruje się jako przeciwnik ekstazy, fantyzmu i tandetnych a sowicie opłacanych bohaterów, które to zjawiska razem wzięte tworzą obraz współczesnego sportu.

Nie będę krył, że nie zgadzam się z trzema pierwszymi dyskutantami. Najbardziej trafia mi do przekonania wprawdzie druga wypowiedź, ale wydaje się, że jej autor po dobrym starcie zmylił trasę. W każdym razie Giełżyński, jak dotychczas, był najbliżej mety. Nie mogę natomiast uznać tezy o sarmackim charakterze walki sportowej, jako praprzyczynie gazdomanii, gdyż teza ta nie tłumaczy, dlaczego np. Finowie, pozbawieni absolutnie Kozietulskich i Wołodyjowskich, wznieśli Nurmiemu pomnik i to za życia wielkiego biegacza. Nie podzielam także stanowiska trzeciego autora, którego argumentacja sprowadza się w głównej mierze do kokietowania ignorancją. Exemplum: próba przeciwstawienia szlachetnego sportu starej Hellady dzisiejszemu kultowi umięśnionych debilów.

Do rzędu banialuk należy bowiem zarówno pogląd, jakoby „z całą pewnością przodujący dyskobol mógł zostać wyzwany przez każdego mężczyznę z widowni na mniej więcej wyrównany pojedynek", jak i przekonanie, że kibice greccy wypełniali olimpijski amfiteatr li tylko dla podziwiania zręczności, gracji i piękna ludzkiego ciała.

Po pierwsze — olimpijczyków przygotowywały gimnazjony pod kierunkiem fachowych trenerów. Mogę się założyć, że zgrupowana w gimnazjonie kadra otrzymywała dodatkową porcję fig i oliwy, a trenerzy niemało oboli. Trening był ciężki i wyczerpujący: zapaśnicy dźwigali głazy, biegacze ścigali się z końmi, pięściarze całymi godzinami tłukli skórzane wory. Tak prowadzone przygotowania trwały 10 miesięcy przed przybyciem do Elidy, na miejscu zaś każdy olimpijczyk w ciągu miesiąca poddawany był ostatecznemu szlifowi. Prosty stąd wniosek, że facet z ósmego rzędu olimpijskiego stadionu takie miał szanse pojedynku ze zwycięzcą rzutu dyskiem — na 75 olimpiadzie Hieronimosem z Andros, jak niżej podpisany z Piatkowskim.

Powracam do diagnozy Giełżyńskiego, od której wychodzą moje rozważania. Przerost wyczynowości? Zgoda. Ale skąd obawa, że przerost wyczynowości prowadzi do uśmiercenia masowego uprawiania sportu? Na zasadzie psychicznego rozdźwięku między „snem o szpadzie", a możliwościami — odpowiada Giełżyński i niemal przekonuje pod warunkiem, że się przyjmie, iż sport wyczynowy jest emanacją, wyższym stadium powszechnego uprawiania sportu. Że wyczyn i masowy ruch sportowy składają się na to samo zjawisko i jako jego składowe elementy pozostają wobec siebie w stosunku wprost proporcjonalnym.

Tak rzeczywiście było. Ale istniejący już dziś dystans między sportem wyczynowym, a masową kulturą fizyczną będzie stale się pogłębiał. Jest to proces nieuchronny. Sport wyczynowy staje się profesją, sport masowy — zabawą, rozrywką, utrzymującą normalną sprawność fizyczną, zapewniającą prawidłowe funkcjonowanie organizmu ludzkiego.

Czy oderwanie od masowej bazy nie oznacza samounicestwienia sportu wyczynowego? Czechosłowacja nie może odzyskać dawnej pozycji w Wyścigu Pokoju, bo młodzi Czesi przesiedli się na „Jawy". Pięknie. Jak w takim razie wytłumaczyć, fakt, że w krajach tak zmotoryzowanych jak Francja, Belgia, czy Holandia kolarstwo wyczynowe stoi na najwyższym poziomie?

Sport wyczynowy przekształcać się będzie w widowisko z udziałem zawodowych aktorów. Jego związek z masową kulturą fizyczną, która prawdopodobnie oprze się na towarzyskich grach ruchowych i turystyce, będzie analogiczny do związku teatru zawodowego z amatorskim ruchem artystycznym. Zielone światło dla potencjalnych Pietrzykowskich rozumie się samo przez się, jakaż jednak siła zmusi mistrzów in spe do golenia całego ciała, który to nieskomplikowany zabieg — zdaniem fachowców amerykańskich przyspiesza szybkość pływania o parę procent? Może to uczynić tylko „Przekrój".

Rzecz nie w anegdocie. Chodzi o to, że sport wyczynowy wchłaniać będzie tylko te jednostki, których określone predyspozycje psychofizyczne pogodzą się z surowym reżimem nowoczesnych gimnazjonów.

Ma rację Giełżyński, że buławę marszałkowską nosi się w szkolnym tornistrze. Nie wszyscy jednak mogą zostać marszałkami. Ci, którzy nie mogą, tworzą armię kibiców.

Oto fenomen wieku cybernetyki, sputników i bomby H! Sto czterdzieści tysięcy widzów na stadionie Hampden — Park (Szkocja) ryczy z zachwytu, obserwując mecz piłkarski Realu (Hiszpania) z Eintrachtem (Niemcy Zach.). Jaką tu miarę przyłożyć, jeśli odpadają po kolei: duma narodowa, szowinizm, krwiożercze instynkty? Co ściąga miliony widzów na trybuny wszystkich stadionów świata?

Niepowtarzalność sportowego widowiska.

Tylko dla laika każdy mecz jest taki sam, bo przecież każdy polega na wkopaniu nadmuchanej skóry do siatki zawieszonej na słupkach. Tylko laika może dziwić (i oburzać) fakt, że na bieg Krzyszkowiaka z Grodotzkym i Bołotnikowem, trwający zaledwie 8 minut, przyjdzie na pewno 80 tysięcy widzów, a na szekspirowskiego „Otella", nawet w wykonaniu Oliviera i także na Stadionie Dziesięciolecia, na pewno o wiele mniej. Porównujący widowisko sportowe do spektaklu teatralnego zapominają o jednym: Otello zawsze zadusi Desdemonę. W widowisku sportowym nie ma dwóch sytuacji identycznych, nie ma też z góry ustalonego finału.

Jeśli charakterystyczną cechą sportowego widowiska jest jego niepowtarzalność, to istotą — walka. W tym sensie sport pozostaje niezmienny. Postęp techniczny może wnieść nowe elementy, ale nie naruszy „irracjonalnych" przesłanek sportowego wyczynu. Będziemy uprawiać kosmiczną turystykę i grać w elektronowe kręgle, ale będziemy także ryczeć z uciechy, gdy nasi „tandetni" bohaterowie wleją Marsjanom trzy do kółka.

Co do bliższych perspektyw, opowiadam się za likwidacją podziału na sport zawodowy i tzw. amatorski sport wyczynowy.

Tej wskażę żaby w jadłospisie, spreparowanym przez Chylińskiego dla dyskutantów, na szczęście, nie ma.

Nasza szkółka

CO „IDZIE"?

Po obiedzie, kiedy ruch miejski zatraca charakter gorączkowej krzątaniny a staje się bardziej spacerowy, — robi się tłoczno przed wystawami. A ludzie przypominają wówczas bardziej turystów, którzy zawitali do jakiegoś obcego a bogatego miasta, niż zwykłych tubylców.

Tłum przeciąga od wystawy do wystawy, poddając wielokrotnym oględzinom po wykładane dobro i słychać szept licznych rodzinnych rozmów na temat: buty, sweter, wazon czy harmonia, tudzież widać mnogość uduchowionych min oznaczających intensywne przeliczanie korelacji pensji z cenami towarów.

Raz na kwartał buchalterzy sumują efekty tych pielgrzymek i wtedy okazuje się co w bieżącym sezonie „idzie", a co nie idzie. Czasem zaś ekonomiści starają się odpowiedzieć na pytanie — „dlaczego"?

W obecnym sezonie (ściślej w pierwszym kwartale roku miłościwie nam panującego) łodzianie kupili, w porównaniu z analogicznym kwartałem roku minionego, na przykład, o wiele mniej tkanin wełnianych i bawełnianych, a nieco więcej niż w zeszłym roku jedwabi. Mniej też kupiono butów, a z konfekcją w ogóle zgroza. O ile w pierwszym kwartale 1959 r. zakupiliśmy gotowych ciuchów za 51.404.000 zł o tyle aktualnie za 20.943.000 zł czyli 40,7 proc. tego, co w zeszłym roku.

Nie wiem, jak to tłumaczą ekonomiści. Wyjaśniają oni tylko, że w ogóle zmniejszyła się ilość zakupów w porównaniu z I kwartałem roku ubiegłego, a to dlatego, że w Łodzi, inaczej niż w zeszłym roku, pieniądze z funduszu zakładowego wypłacane są dopiero w II kwartale.

Wiele jednak wytłumaczyć można bez udziału ekonomii i ekonomistów, w sposób zwyczajny, po domowemu.

Na przykład wszystkich tkanin kupiliśmy obecnie o wiele mniej niż w zeszłym roku, tylko jedwabiu więcej. Sprawa chyba prosta: w zeszłym roku jedwab nie był modny, a w tym roku jest modny. Nie mniej to ważny czynnik niż tegoroczna obniżka cen, szczególnie wydatna w kategorii tkanin jedwabnych.

W każdym razie ze statystyki wyziera jeden pewnik: aktualnie mniej pieniędzy wydajemy na wszystkie rzeczy służące do ubrania, z butami włącznie. Warto tedy pokusić się o odpowiedź dlaczego — i jeszcze wyczytać ze statystyki, co się dzieje z pieniędzmi, w zeszłym roku wydanymi na ubranie.

Zeszłej wiosny i w okresie ubiegłego przedwiośnia Polska zalana została ładnymi, modnymi, barwnymi i tanimi wyrobami służącymi do ubierania się. Ładnymi, modnymi, barwnymi i tanimi w porównaniu z tym, co bywało w sklepach poprzednio. Spowodowało to jakąś gorączkę strojenia się. Ludzie (czytaj kobiety) przeznaczyli większe sumy na stroje, niż to zazwyczaj na wiosnę bywało.

Gdyby centrale handlowe, odzieżowe i obuwnicze chciały i w tym roku wywołać podobny run — musiałyby zapchać rynek znów rzeczami zupełnie innymi niż w zeszłym roku, dać bardziej wybrednej już klienteli więcej rodzajów towarów, zaszokować cenami i nową modą: wytworzyć dążność do kupienia w sezonie bieżącym wszystkiego na nowo, dążność związaną z przeświadczeniem, że zeszłoroczne sprawunki wyglądają już na człowieku archaicznie.

Nic takiego się nie stało. Przeciwnie, sklepy są zaopatrzone gorzej niż w zeszłym roku. Stanowi to znamię regresu podwójnego, bo i bezwzględnego (po prostu poprzednia wiosna była obfitsza w laszki i pantofelki) i względnego (co w zeszłym roku wydawało się bogactwem, to samo w tym roku odczute już by było jako ubóstwo). Kobiety już nie kupują idących ongiś jak woda sandałów na koturnie bez pięt (modnych nota bene tylko w 1956 r.) mimo, że tego jest mnóstwo w sklepach i wytrwale szukają wydłużonych miękkich pantofli na „półszpilkach" i „kieliszkach". I nie kupują nic innego. Skończyła się bezpowrotnie błogosławiona dla handlu era, kiedy to wszystko jedno co ustawiało się na półkach sklepowych i tak każdy kupował wszelkie świństwo, bo wiedział, że jak nie kupi może najwyżej chodzić boso. (Daj Boże taką modę na złość ministrowi Leszowi).

Spójrzmy więc na ulicę — Łódź w poważnym stopniu chodzi w zeszłorocznych rzeczach. Natomiast statystyka zanotowała burzliwy w stosunku do zeszłego roku wzrost zakupów pralek elektrycznych i telewizorów. Wzrosła również ilość kupowanych lodówek.

Nie od dziś wiadomo, że w Polsce, w tym i w Łodzi wzrasta atrakcyjność artykułów trwałego użytku, w tym również rozmaitych maszyn i urządzeń domowych. I tu na przykład jest rzeczą ciekawą, że Łódź kupiła 7 razy więcej telewizorów niż lodówek, mimo, że lodówki są na ogół tańsze i mimo, że zgodnie z tradycją sprawy żołądka stały na czele naszych trosk i wydatków zawsze i wszędzie.

Czy ów wzrost zakupów urządzeń służących oszczędzaniu czasu i zagospodarowywaniu zaoszczędzonego czasu oznacza, że wymienione wartości stają się wyższymi ponad pragnienie eleganckiego ubierania się i „reprezentacyjnego wyglądu"? Czy bardziej cenimy przedmioty służące nam samym dla samych siebie niż przedmioty służące wyrabianiu sobie o nas wyobrażenia przez bliźnich?

Takie skrajne wnioski wydawałyby mi się przesadne. Można bowiem zaobserwować, iż telewizor nie służy li tylko jako instrument rozrywkowy i nie z tą wyłącznie intencją jest kupowany. Analogicznie lodówka służy nie tylko zamrażaniu produktów, pralka oszczędza czas i siły przy pracy itp. Instrumenty te pełnią też rolę reprezentacyjną. Są nową w naszych warunkach formą demonstrowania dorobku czy zgoła zamożności. Dotychczas funkcję tę tak ważną psychologicznie, spełniały głównie stroje.

Kiedy idziemy z wizytą do znajomych coraz częściej obok albumu rodzinnych zdjęć i nowych pantofli pani domu, prowadzeni jesteśmy przed oblicze pralki czy lodówki i demonstruje się nam te maszynki. A przecież nikt nie pokazuje gościom piecyka gazowego albo radia. Cóż, te przedmioty od dawna zyskały sobie masowe obywatelstwo i nie są już elementami wyróżniającymi.

Jednym słowem powstaje społeczna moda na posiadanie artykułów trwałego użytku, urządzeń domowych zaś w szczególności.

Nadszedł więc czas, w którym różne branże handlu winny podjąć między sobą ostrą walkę konkurencyjną nie tylko o zdobycie klienta na krótką metę, poprzez błyśnięcie mu atrakcyjnym towarem, ale o zdobycie jego „duszy" o ukształtowanie pragnień życiowych, ambicji konsumpcyjnych itp. w sposób dla siebie wygodny. Naprawdę wyniknąć mogą z tego same dobre rzeczy.

BELFER

JACEK LEBEN

Maj 1960 r.

Historia powojennej dyplomacji nie zna tak wielu dramatycznych miesięcy jak maj 1960 roku. Świat w ciągu kilku tygodni przeżywał zupełnie przeciwstawne stany psychiczne: od nadziei, jakie budziło spotkanie na szczycie do pełnych napięcia trzech paryskich dni, kiedy stawało się coraz bardziej jasne, że konferencja nie dojdzie do skutku. Od histerycznych obaw, które Zachód próbował zaszczepić co do możliwości berlińskiej eksplozji, po błogie uczucie odprężenia, kiedy stało się jasne, że rząd radziecki nie zamierza odejść od polityki rozmów.

W ciągu tego miesiąca runęło wiele ustalonych w ciągu minionego odprężeniowego roku pojęć, natomiast w całej swej nagości ukazała się nieprzyjemna prawda o wojnie wywiadowczej, która toczyła się pod płaszczem uszytym w Camp David. Ranga tego miesiąca jest tak wielka, że można już teraz w pierwszych dniach czerwca pokusić się o jego wstępne podsumowanie z takim namaszczeniem, z jakim u progu nowego roku podsumowuje się cały rok miniony.

Uważam za konieczne wyjaśnienie jednej kluczowej sprawy. Jest nią w moim przekonaniu tak zwany „błąd" Eisenhowera. Błąd ten polegać ma na tym, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie skorzystał z szansy danej mu przez Chruszczowa i w przeddzień konferencji na szczycie oświadczył iż wiedział o lotach wywiadowczych U-2 nad terytorium Związku Radzieckiego. Co więcej — uważa, te loty za mądrą, państwową konieczność. Teoria tego właśnie błędu jest bardzo popularna na Zachodzie.

Wydaje się jednak, że to teoria bzdurna, teoria która ma wykazać, że to Chruszczow korzystając z błędu Eisenhowera zerwał konferencję na szczycie. Dla wnikliwego obserwatora wydarzeń międzynarodowych jest jednak zupełnie jasne, że poparcie przez Eisenhowera afery z U-2 było jedynie ukoronowaniem całej serii posunięć rządu USA świadczących o zimnowojennym zwrocie przed szczytem. Do takich właśnie posunięć zaliczyć trzeba wycofanie się Stanów Zjednoczonych z berlińskich pozycji, uzgodnionych w czasie zeszłorocznej genewskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych, zapowiedź wznowienia przez USA podziemnych doświadczeń z bronią termojądrową oraz całą falę oświadczeń amerykańskich dowódców wojskowych o konieczności forsownych zbrojeń, utworzenia szturmowych sił NATO itp.

Cała gadanina o „błędzie" godzi przecież w samego Eisenhowera. Mądrość polega przecież na umiejętności przewidywania. Czyżby prezydent Eisenhower nie był w stanie przewidzieć, że jego oświadczenie storpeduje paryską konferencję? Prezydent Eisenhower przecież zna dobrze politykę rządu radzieckiego i bezpośrednio zetknął się z jej rzecznikiem premierem Chruszczowem. Wiedział on więc dobrze, że przywódcy Związku Radzieckiego to twardzi przeciwnicy, którzy nie ustępują w obliczu groźby, a wprost przeciwnie, właśnie wówczas demonstracyjnie usztywniają swoje stanowisko. 15 maja, kilka dni potem jak radzieckie siły zbrojne przy użyciu jednej rakiety strąciły samolot U-2 i kilka godzin po wyrzuceniu w przestworza kolejnego satelity o wadze 4,5 ton, radzieccy przywódcy tym bardziej nie mieli powodu do zasiadania przy stole obrad w pozycji uwłaczającej ich prestiżowi i nie dającej żadnej gwarancji co do szczerości głównego rozmówcy prezydenta Eisenhowera.

Należy więc uznać za obowiązującą tezę, że prezydent Eisenhower wiedząc, że jego krok najprawdopodobniej doprowadzi do zerwania konferencji na ten krok się zdecydował. Dlaczego więc to uczynił? Odpowiedź nie jest łatwa. I może być oczywiście niepełna. Większość amerykańskich komentatorów politycznych, mniej czy bardziej maskując sens tego pytania, stara się jednak na nie odpowiedzieć. Drew Pearson na łamach Washington Post (z 26 bm.) pisze: „Należy przyznać że duża część winy leży po naszej stronie. Niektóre zarzuty postawione przez Chruszczowa są zupełnie słuszne. Jednym z nich jest to, że Eisenhower działał pod wpływem amerykańskich kół wojskowych. Zarzut ten jest częściowo słuszny".

Prezydent Eisenhower został najprawdopodobniej postawiony przed faktem dokonanym przez amerykańskie koła wojskowe. Jako prezydent obarczony pełną odpowiedzialnością za całą amerykańską politykę nie mógł się publicznie przyznać do niepełni władzy, którą dysponuje. Można napisać cały artykuł o mechanizmie, który doprowadził do tego, że autorytet prezydenta USA został splamiony szeregiem nieprawdziwych i sprzecznych oświadczeń. Podam tylko jeden przykład. 15 maja oświadczono, że prezydent Eisenhower wydał sekretarzowi Obrony Gatesowi polecenie wstrzymania lotów wywiadowczych. Poprzednio natomiast prezydent powiedział, że loty nad terytorium ZSRR noszą charakter czysto cywilny. „Nie używamy armii, marynarki wojennej czy sił lotniczych do tego rodzaju celów".

W każdym razie prezydent Eisenhower okazał się człowiekiem słabym, a właśnie na niego liczył premier Chruszczow. Liczył na dialog z Eisenhowerem, liczył na jego szczerość. Chruszczow się niewątpliwie rozczarował. Rozpoczął się ponad głowami opinii publicznej świata dialog, tych dwóch mężów stanu. Przykry dialog.

Prezydent Eisenhower wygłasza orędzie telewizyjne do narodu amerykańskiego. Utrzymuje on, że było rzeczą mądrą i konieczną wysłanie U-2 w głąb terytorium ZSRR tak samo jak mądrą i konieczną rzeczą jest teraz zawieszenie tych lotów. Logiki tu niewiele, ale jednocześnie wzywa on

(Dokończenie na str. 7)

CARYL CHESSMAN

Cela 2455, Korytarz Śmierci

Drukujemy dziś ostatni odcinek opowieści Caryla Chessmana. Są to fragmenty wybrane z dwóch ostatnich rozdziałów „Celi 2455" — „Przebudzenie" i „Powrót z ciemności".

CHESSMAN W KOMORZE GAZOWEJ!, będą krzyczeć nagłówki w gazetach. Poniżej przeczytacie typową dziennikarską opowieść. Kim byłem. Za co zostałem skazany. Lista moich zbrodni. Lata, które spędziłem w Korytarzu Śmierci, walcząc o życie. Czas, w którym odczytano mi wyrok śmierci. Czas wykonania wyroku. I jeszcze komentarz redakcyjny: „zbrodnia nie popłaca".

Porządni obywatele przeczytają tę opowieść i odwrócą stronę, by zajrzeć do wiadomości sportowych lub do comicsów. Młodzi chłopcy przeczytają ją i zdecydują, że byłem bałwanem, pozwalając się złapać; poczem pójdą rabować. Robiłem to samo. Od czasu, kiedy zostałem zwolniony z domu poprawczego aż do chwili kiedy znalazłem się w Korytarzu, sam dwukrotnie skazany na śmierć, trzej moi przyjaciele zostali straceni w zielonym pokoju.

Z pewnością, nie szczędzono mi ostrzeżeń. Nie oskarżam społeczeństwa, nie żałuję, że stało się to, co się stało. Nie mam zamiaru zmięknąć, zdrowie psychiczne wciąż mi dopisuje. W rzeczywistości mam to wszystko gdzieś. Tego wtorkowego ranka siedziałem po prostu w mojej celi, paląc, myśląc, usiłując rozumieć jakoś swoją przeszłość, usiłując zrozumieć fakt, że nie ma dla mnie przyszłości; że moja przyszłość skończy się w piątek rano, o dziesiątej. Byłem tak zamyślony, że nie usłyszałem, kiedy naczelnik więzienia, Harley Teets, wszedł do celi. Wyciągnął rękę i wręczył mi kopertę.

— Sądzę — powiedział — że czekałeś na to.

Ani ton jego głosu, ani wyraz twarzy nie powiedziały mi nic więcej.

Sądzę, że czekałeś na to. Tak, czekałem na to — na kartkę papieru, która miała mi powiedzieć, czy będę żył nadal, czy umrę. Kiwnąłem głową, wziąłem kopertę i wyjąłem z niej dwie kartki papieru. Zaczałem czytać. Sędzia Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych dla IX Okręgu, Albert, Lee Stephens, nakazał wstrzymanie egzekucji do czasu, kiedy jego sąd rozpatrzy moje odwołanie.

— No tak — powiedziałem zamyślony — odroczenie.

Powiedziałem to bardziej do siebie, niż do naczelnika, którego oczy, blado-błękitne, z uporem wpatrywały się w moją twarz. Teets nie poruszył się, zdawało mi się, że czeka na coś. Wkrótce miałem się dowiedzieć, że był zainteresowany czymś ważniejszym, niż dramatyczne napięcie tej chwili.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie znaczenie trzymanej przeze mnie w ręku kartki papieru.

Mogłem teraz przybrać obojętny wyraz twarzy, powiedzieć: — No tak, na to właśnie czekałem — zapalić papierosa i poprzestać na tym. Lub, udając ekscytację, mogłem wypocić z siebie jakieś fałszywe słówko pokory. Lecz powiedziałem tylko: — Jeszcze jedna szansa.

Tyle właśnie znaczyły dla mnie te kartki papieru.

Potem, myśląc głośno, dodałem:

— Mówiąc prawdę, naczelniku, to nie sądziłem, że dadzą mi tę szansę. Myślałem, że tym razem będzie już po mnie. Proszę mi wierzyć, byłem na to przygotowany.

Naczelnik kiwnął głową. Jestem pewien, że wiedział, jak starannie byłem na to przygotowany. Musiał to wiedzieć, bo zapytał: — Słuchaj, Caryl, czy ty naprawdę pragnąłeś otrzymać jeszcze jedną szansę?

— Co pan ma na myśli? — zapytałem.

Z nieoczekiwanym spokojem powiedział mi, że wiem, i to wiem bardzo dobrze, co miał na myśli. Potem zapytał mnie, co zamierzam teraz zrobić. Jeśli, oczywiście, w ogóle cokolwiek zamierzam. Dodał, że dobrze wie, kim jestem. Nie wie tylko, dlaczego taki jestem. To, powiedział, wprawia go w zakłopotanie. I to nie dlatego, by specjalnie był zainteresowany moim losem, ale dlatego, że takich jak ja jest, niestety, wielu. Zaobserwował, mówił dalej, że moja postawa sprowadza się do buntu i tylko do buntu, że każda komórka mojego mózgu pracuje tylko w tym kierunku. Dlaczego? Jak to wytłumaczyć? Wie, że nie boję się kary. Wie, że nawet zbliżający się kres mojego życia nie robi na mnie wrażenia. Dlaczego? Czy sądzę, że sprawia mu przyjemność posyłanie ludzi na śmierć? Jeśli tak sądzę, to jestem szalony. Społeczeństwo i jego instytucje nie są prawdopodobnie doskonałe. Ale ja także nie jestem doskonały. Różnica polega na tym, że społeczeństwo kroczy bezustannie ku lepszemu. A ja nie. Ja wolę stać z boku i szydzić i sabotować i eksploatować. Jestem typem całkowicie negatywnym, typem, bezustannie szukającym jakiegoś sposobu, by ominąć lub pomniejszyć system społeczny. Tragedia polega na tym, że zbyt często mi się to udawało. Czy nigdy nie pomyślałem, odłóżmy na bok kazania, że do tego, by być uczciwym, również potrzebna jest odwaga? Czy nigdy nie pomyślałem, że gdybym jedną dziesiątą część tego czasu, który spędziłem w Korytarzu Śmierci usiłując — rzekomo — walczyć o życie, spędził na wolności usiłując dokonać czegoś pożytecznego, odniósłbym, być może, sukces przynoszący znacznie więcej satysfakcji? Czy nie zdaję sobie sprawy, że umysł i talenty człowieka mogą być wykorzystane na pożytek tak osobisty jak i społeczny?

Spędziłem życie w więzieniach, poza prawem, w zbrodni. Nienawidziłem społeczeństwa i wszystkiego, czego społeczeństwo broniło. Dlaczego? Taka postawa musi mieć swoje powody. A jeśli są powody, to dlaczego nie chcę ich odsłonić? Czy dlatego, że sądzę, iż są zbyt dziecinne? Spędziłem całe lata w Korytarzu Śmierci. Utrzymuję, że ani Korytarz — ani zgodna z prawem egzekucja — nie przynoszą rozwiązania. Świetnie, gdzież więc jest rozwiązanie? Czy wreszcie przestanę uważać, że moje działania i moje prowadzenie się mogą przekonać do mnie publiczność? Czy nie widzę, że utrudniam jemu, naczelnikowi, pracę? Czy nie rozumiem, że jego praca ma na celu niesienie pomocy ludziom?

Naczelnik zamilkł. Potem powiedział, spokojnie, jak zwykle: — Jeśli masz choć odrobinę odwagi, Caryl, postarasz się teraz wytłumaczyć swoje życie i uczynić z nim coś, czym mógłbyś odpłacić sędziemu Stephensowi za szansę, którą ci dał.

— Z pewnością — powiedziałem, uśmiechając się bladO — ale co?

— Domyśl się tego sam — powiedział naczelnik. Odwrócił się i wyszedł. Odłożyłem list z odroczeniem i zapaliłem papierosa. Domyśl się tego sam. Domyśl się tego sam. Domyśl się tego sam.

* * *

Jest teraz późna zima roku. 1954. Wiele miesięcy upłynęło od chwili, kiedy moje spotkanie z katem zostało po raz ostatni odłożone. Zacząłem pracować nad książką. Więcej jednak niż połowę mojego czasu musiałem spędzić na wynajdywaniu punktów spornych w mojej sprawie i na walce o życie. Bo przerażający wyścig z katem, wyścig, w którym nagrodą było życie, trwał bezustannie. Mimo to, każdą minutę, którą mogłem zaoszczędzić w pracy nad kodeksami, poświęcałem tej książce.

Nie miałem szans, wszystko przemawiało za tym, że niebawem zostanę zaprowadzony na śmierć. Ale szanse nie są wszystkim, szanse mogą kłamać.

28 maja 1953 roku Sąd Apelacyjny Stanów Zjednoczonych podtrzymał decyzję Sądu Okręgowego, odrzucającą moją prośbę o ponowne rozpatrzenie sprawy.

Była to gorzka rozczarowująca nowina. Być może, żądałem zbyt wiele. Było widoczne, że sądy federalne zaczynają przestrzegać skrupulatnie polityki niemieszania się w sprawy sądów stanowych. Przez 5 miesięcy, od wiosny do zimy, bezustannie wnosiłem nowe prośby. A potem... Sąd Najwyższy po raz czwarty zatrzasnął mi drzwi przed samym nosem. Wniosłem prośbę o ponowne odroczenie egzekucji. Przygotowałem też i wysłałem do Sądu Najwyższego prośbę o ponowne rozpatrzenie mojej sprawy. Prośba została odrzucona. Czas upływał, zbliżał się dzień wykonania egzekucji. Wkrótce zostanie ustalona data. Mimo to, nie uznałem się za pokonanego. Wciąż miałem nadzieję. Zamierzałem walczyć aż do zwycięstwa, lub przynajmniej do chwili, w której drzwi komory gazowej zatrzasną się za mną. Ani na chwilę nie ustałem w poszukiwaniu nowych dowodów. Jestem dziś gotów podjąć nowe ataki, raz jeszcze odwołać się do niższego sądu stanowego. Jeśli przegram, będę prosił gubernatora o łaskę. Myślę, że jestem więcej wart dla społeczeństwa żywy niż martwy. Lata, które przeżyłem w tyglu, zwanym Korytarzem Śmierci, oczyściły mnie z goryczy, z nienawiści, z dzikiej, zwierzęcej pasji. Korytarz Śmierci zmusił mnie, bym podjął studia, których nie podjąłbym w innym wypadku, zmusił mnie do zaakceptowania rygorów, których nie zaakceptowałbym nigdzie indziej. Uzyskałem tu głęboką wiedzę o wszystkich fazach zbrodni i jestem zdecydowany zużytkować ją i pokusić się o ostateczne rozwiązanie problemu zbrodni i kary. Ta książka, to mój pierwszy wkład w rozwiązanie tej kwestii. Chciałbym wierzyć, że oznacza ona dla mnie również początek podróży z mroku. Choć wciąż zdaję sobie sprawę, że w pewnej chwili mogę znaleźć się w miejscu, z którego nie ma powrotu.

Powinienem tu dodać jeszcze, że za położenie, w którym się znalazłem, mogę dziękować tylko sobie. Nie obwiniam ni sądów, ni gubernatora. Jest rzeczą jasną, że to nie sądy wymyśliły Caryla Chessmana, psychopatę z przeszłością kryminalną. Sądy miały z nim tylko do czynienia. Z nim, z człowiekiem, który — jak ostrzegano — był wysoce niebezpieczny i przebiegły, i który — jak się zdawało — miał gdzieś sądy i społeczeństwo i wszystkich i wszystko. Słowa są tanie, pretensje do niewinności nie są rzeczą nową. Chessman czekający na śmierć, Chessman zbierający całą energię, by przechytrzyć kata, Chessman, który może to uczynić tylko z pomocą sądu — czyż taki Chessman nie jest zdolny do wygłaszania zapewnień o swej niewinności, jeśli te zapewnienia mogą posłużyć jego celom? I czy te zapewnienia nie powinny być zignorowane i odrzucone w interesie sprawiedliwości?

Chessman — ten Chessman, który przez tyle lat pętał się po sądach — jest przecież tylko jednym z kryminalistów. Czyż jego egzekucja nie będzie surowym ostrzeżeniem dla innych? Czyż nie posłuży ona pięknemu celowi?

Nie, nie posłuży. Na pewno nie posłuży. Ta egzekucja nie odstraszy nikogo, przez tę egzekucję społeczeństwo nie osiągnie nic, nie udowodni niczego. Ta egzekucja będzie oznaczała tylko śmierć jednego czowieka. A także to, że problem, który ten człowiek uosabiał, został raz jeszcze ominięty. I oto znajdziemy się tam, skąd wyruszyliśmy, z jednym trupem i przynajmniej z dwoma nowymi rekrutami, którzy gotowi będą zająć miejsce Chessmana w szeregach kryminalistów.

Trudno to nazwać postępem, czyż nie tak?

Spróbujmy więc raz jeszcze zająć się problemem naszych Chessmanów. Spróbujmy zobaczyć, czy nie możemy dokonać w tej sprawie czegoś konstruktywnego. Osobisty los Chessmana może mieć znaczenie tylko i wyłącznie dla Chessmana. Ale los tysięcy młodzików, którzy pójdą w ślady Chessmana, ma dla nas wszystkich pierwszorzędne znaczenie.

Oto problem przerastający nieco sprawę życia człowieka, który zbliża się ku śmierci; problem, znaczący więcej, niż opowieść o jęczących oponach, szczekających pistoletach, opowieść o wychowaniu w domu poprawczym i ostatnim krzyku w komorze gazowej.

Za murami szary, zimowy dzień. Pędzący deszcz tnie zakratowane okna. Podmuchy wiatru z wściekłością uderzają w ściany budynku.

Jest późne popołudnie, zapada mrok. Korytarz Śmierci jest zwierzęciem, warczącym i zamyślonym.

Wkrótce będzie tu noc. Dla mnie może to być noc, która nie będzie miała końca.

Czy to ma jakieś znaczenie?

Cóż znaczą wasi Chessmanowie?

Decyzja należy do was.

Caryl Chessman w ostatnim dniu życia

Tłumaczył: JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

REGULAMIN KONKURSU na KSIĄŻKĘ o ŁODZI

§ 1.

Rada Narodowa m. Łodzi pragnąc ożywić i wzbogacić literaturę o tematyce łódzkiej, ogłasza Konkurs na powieść, tom opowiadań lub szkiców literackich z tego zakresu tematycznego — z uwzględnieniem nurtu plebejskiego oraz roli i znaczenia klasy robotniczej w życiu i rozwoju Łodzi.

Temat może być traktowany bądź historycznie, bądź współcześnie, możliwe jest również powiązanie elementów przeszłości z elementami teraźniejszości miasta.

Tekst pracy konkursowej nie może liczyć mniej niż 8 arkuszy autorskich.

Konkurs jest otwarty i dostępny dla wszystkich bez względu na zawód i miejsce zamieszkania.

§ 2.

Za najlepsze utwory przyznane będą nagrody, a mianowicie:

— I w wysokości 40.000 zł
— II „ „ 25.000 zł
— III „ „ 15.000 zł
i dwie nagrody IV po 10.000 zł każda.

W razie braku utworu kwalifikującego się do I-szej nagrody przyznane będą tylko nagrody II, III i dwie IV. Pierwszeństwo wydania nagrodzonych pozycji zastrzega się dla Wydawnictwa Łódzkiego.

§ 3.

O przyznaniu nagród decyduje jury Konkursu złożone z jedenastu członków, a mianowicie:

— dwóch przedstawicieli Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi,
— przedstawiciela Towarzystwa Przyjaciół Łodzi,
— 3 przedstawicieli Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich,
— przedstawiciela Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego oraz przedstawiciela Wydawnictwa Łódzkiego.

Przewodniczącym jury jest Przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi względnie jego zastępca.

§ 4.

Utwory konkursowe należy nadsyłać do dnia 30 kwietnia 1961 roku pod adresem Wydziału Kultury, ul. Piotrkowska 104, w postaci czytelnego i przejrzystego maszynopisu.

W przypadkach spornych o terminie nadesłania decyduje data stempla pocztowego.

Maszynopis winien być zaopatrzony w godło autora.

Do każdej pracy należy dołączyć zapieczętowaną kopertę zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora. Na kopercie winno być również umieszczone godło autorskie. Prace konkursowe nie mogą być uprzednio drukowane lub ogłaszane w całości ani w części.

§ 5.

Ogłoszenie wyników Konkursu nastąpi w dniu 22 lipca 1961 roku.

KAROL BADZIAK

BOGINI ŚWITU czeka na etat

Język praindoeuropejski znany był już od bardzo dawna lecz nie używano go w piśmie. Dopiero przed stu laty austriacki lingwista P. Schleicher na podstawie zestawów z różnych starych języków stworzył praindoeuropejski język pisany. W okresie międzywojennym językiem Schleichera posługiwała się pewna sekta religijna w Zakopanem. Jeden z członków tej sekty przełożył nawet na ten język „Pana Tadeusza".

Bodouin de Courtenay przyrównał język praindoeuropejski do posągu boga, którego piękne rysy zatarła woda.

KÓŁKO LITERACKIE POCZĄTKIEM SEKTY

Członkowie szkolnego kółka literackiego przy Technikum Księgarskim w Łodzi w 1953 roku postanowili przywrócić piękne rysy posągu. Najgorliwszym z nim okazał się „Kempos", który tak przejął się swą rolą, że postanowił zorganizować tajne zrzeszenie do badań nad tym starym i pięknym językiem. Zrzeszenie przyjęło nazwę „Ausra", co oznacza — zorzę, poranek, przedświt. Młodzi chłopcy wkrótce skończyli szkołę, objęli posady w księgarniach lecz badań swych nad językiem nie zaniechali i w ten sposób szlachetna pasja młodzieńcza przerodziła się w mistyczne niemal dociekania.

PIERWSZY KAPŁAN PUSANA

Z czasem (1956) powstali w gronie „kapłani". Otóż jeden z członków „Ausry" rozwijając badania nad bogiem Pusanem postanowił ogłosić się jako jego kapłan. Zabawa spodobała się członkom, zwyczaj został przyjęty i kapłani zaczęli się rodzić jak grzyby po deszczu.

Pusan był to pierwotny bóg przyrody, wiosny i wędrowców. Pusan czczony był wśród Greków jako Bóg Pan, a wśród Rzymian jeszcze na długo przed narodzeniem Chrystusa znany był jako Sylwan. Jest to bóg czczony przez ludy śródziemnomorskie jeszcze w okresie ich wspólnoty pierwotnej.

Najważniejszym z bogów ausrańskich nie jest jednak Pusan ale Dieus (Jowisz, Zeus). Enignatos Donkos jest właśnie jego kapłanem.

Kapłanem Wornosa czyli najstarszego boga (dziadka bogów) jest jeden z młodych księgarzy łódzkich. Wornos odpowiada greckiemu Uranosowi — Bogowi Nocy.

Poza tym jest kapłan Perqunosa odpowiadający litewskiemu Perkunowi — Bogowi Pogody, któremu poświęcone jest drzewo-dąb.

Natomiast Lubhana — Bogini Miłości jest jeszcze wolna i nie posiada swej kapłanki. „Ausra" — Bogini Świtu również czeka na wolny etat.

Bogiem Szczęścia stała się u indoeuropejczyków Bhagos, co znaczyło dawniej — szczęście. Z tej nazwy powstała słowiańska nazwa Boga i polski Bóg. Z religii indoeuropejskiej rozwinął się hinduski mitraizm, religia która wywarła duży wpływ na powstanie i ugruntowanie się pojęć chrześcijańskich. Na przykład kult Matki Boskiej rozszerzył się pod wpływem Matki Ziemi — Cybele.

O wszystkim tym piszę na odpowiedzialność „Ausran".

WOJNY AUSRAŃSKIE

Sekta „ausrańska" liczy sobie już 8 lat i zdążyła przetrwać wiele kryzysów, wojen i zdradzieckich napaści, które — jak to bywa — czas przekształca w legendy. „Ausra" ma nie tylko swego proroka, ale i swego nadwornego filozofa „Bachusa Ohopritusa" i swego wieszcza „Koriwaldhosa", który napisał epopeę ausrańską pt. „Antinrjanika", Dzieło to, podaję w języku ausrańskim i polskim:

Ebhut soi sena wentomla
Sena kvsita-kve estat si
Ad jai antera estat nowa
Wendhentia ocu petter swom
Widentia tod eprecet sena
Wentom dhemoit en jam
Ehhemet atkve jai elemet
Petteni senai dwai
Stati-kve lugrawentomala
Nauta esti nun
Ewelet esiet kvi sa nowa
Ne ebhut — wai jai wis.

Był sobie stary wiatrak
Stary zniszczony stał
Przy nim stał drugi nowy
Toczący szybko skrzydła swe
Widząc to prosił stary
By dął weń wiatr
Zadął i złamał
Skrzydła stare dwa
I stoi smutny wiatrak
I nieruchomy jest
Chciał być jak nowy
Choć nie miał sił.

Fragment mówi o chwilach przełomowych dla „Ausry", kiedy to „Kempos" — założyciel i jego poplecznicy „Kuwos" (bibliotekarz) i „Ghortneros" (filmowiec) chcieli ograniczyć demokratyczne prawa gerontów. „Kempos" zaczął unosić się pychą, nosił buławę i nazywał siebie pierwszym wśród pierwszych. Zachowywał się jak samowładca i pojawiał zwykle z przyboczną strażą. Na jednym z licznych zebrań (na Dołach) „Gerontia" ostro wystąpił przeciwko „Kemposowi" i wtedy ten uderzył jednego z gerontów buławą w pierś. Wówczas doszło do boju z siepaczami „Kemposa". Tego samego dnia stoczono jeszcze trzy walki, z czego dwie na Dołach i jedną w Lasku Zgierskim. „Kempos" miał za mało ludzi zaczął więc werbować do „Ausry" różnych zwolenników nie znających języka czyli po prostu zwykłych chuliganów z Dołów. Stan wojenny trwał całe dwa miesiące, wtedy to zwolennicy „Gerontii" i „Tyranii" nie ustępując z placu boju szukali jednocześnie nowych dróg wyjścia i dążyli do stworzenia jedności ausrańskich rzesz.

W 1955 roku nastąpił ostateczny rozłam i grupa „Kemposa" podupadła a przywódca „Gerontii Enignatos Donkos" wyjechał na studia do Warszawy i w ten sposób sekcie zagroziła śmierć naturalna.

Tymczasem jednak „Enignatos" zamieszkawszy w akademiku rozpoczął intensywną agitację, zaczął głosić nowe hasła i werbować zwolenników. W ten sposób zwerbował 18 członków, z których ośmiu mieszka na Kickiego w Akademiku, a pozostali to studenci UW mieszkający w mieście. Dla zaspokojenia ciekawości podam, że w Łodzi znajduje się około 30 nereistów, w Kolumnie 15, w tym również kobiety, w Katowicach kilkunastu, w Krakowie paru i 1 w Norwegii. Do sekty należą przeważnie studenci, bibliotekarze i urzędnicy oraz dwóch robotników i jeden filmowiec.

„Enignatos" wśród swoich nowych, warszawskich przyjaciół zaczął więc na nowo propagować wskrzeszenie języka i kultury praindoeuropejskiej oraz „na bazie" ludów indoeuropejskich głosić hasła internacjonalistyczne. Poza tym próbuje wypracować nowe formy współżycia między ludźmi. W pierwszym rzędzie, ażeby poszerzyć liczebnie szeregi zaproponował członkom „Ausry" małżeństwa z esperantystkami. Doszło podobno nawet na tym tle do pewnych incydentów, o których „ausranje" skwapliwie pragną zapomnieć. „Enignatos" nosi się z zamiarem założenia w przyszłości ausrańskiej wspólnoty nie tylko małżeńskiej ale i ekonomicznej i geopolitycznej. W tym celu proponował najpierw osiedlić się na Bornholmie, teraz pozostaje jednak przy wyspie Wolin (sic!). Czy plan swój zrealizuje, trudno przewidzieć. W każdym bądź razie jeden z łódzkich ausran „Synderos", wybiera się w tym roku na studia teologiczne do Krakowa ażeby pogłębić swą wiedzę w dziedzinie dogmatyki i agnostycyzmu.

Od pewnego czasu zaczęto tu i ówdzie wspominać o narodzinach w Polsce tajemniczej „Ausry". W niektórych pismach ukazały się nawet maleńkie wzmianki. Relacje te podawane były zresztą zwykle na podstawie informacji osób trzecich a więc trudno się było zorientować na czym owa „Ausra" polega. Z początku przypuszczałem, iż to jest jakiś odłam „Epifan", sekty mało znanej, na czele której stoi pewien urzędnik kolejowy z Poznania. Cechą tych małych liczebnie, jeszcze nieokrzepłych sekt są ciągle rozłamy, „schizmy" i walka wewnętrzna na tle personalnym i ideologicznym.

U ARCYKAPŁANA „ENIGNATOSA DONKOSA"

W moim przedsięwzięciu pomógł mi zwykły przypadek, ten najlepszy przyjaciel reporterów. Pewnego razu odwiedziłem antykwariat, w którym poznałem młodego bibliofila, gorliwego szperacza i poszukiwacza starych manuskryptów. W rozmowie wspomniałem, że poszukuję lektury o sektach religijnych działających na terenie Polski. Przy końcu tej niewiążącej pogawędki młody człowiek przyznał się, że jest również członkiem pewnego nieformalnego zrzeszenia o założeniach mistyczno-religijnych i językoznawczych. Bliższych szczegółów nie chciał jednak wyjawić, podał tylko adres arcykapłana Enignatosa [1]) aktualnego przywódcy duchowego „Ausry". Byłem niemile zaskoczony tym adresem, gdyż okazało się, że Enignatos studiuje na Uniwersytecie Warszawskim, a mieszka w Domu Studenckim przy ul. Kickiego.

Pojechałem. Spotkałem go w stołówce. Jadł kolację w towarzystwie „Kasjosa Stambo", nadwornego proroka „Ausry" i pewnego esperantysty. Wszyscy trzej dziarsko pałaszując chudą, stołówkową kolację żywo rozprawiali w nieznanym mi dotychczas języku. Nie było to jednak esperanto — jak z początku się domyślałem — ale język praindoeuropejski. Przyznam się szczerze, że ani arcykapłan „Enignatos" w przydeptanych pantoflach ani prorok „Kasjos" niezdarnie trzymający widelec — na mistyków mi nie wyglądali.

Od pozostałych studentów wyróżniali się jedynie mlecznymi wąsikami starannie pielęgnowanymi i z emfazą noszonymi przez ich właścicieli. Nie wątpię, że w przyszłości, gdy odrosną im brody — będą je równie starannie pielęgnować. Prorok bez brody nie ma przecież autorytetu!

CONSEDIUM

Obaj „ausranie" życzliwie przyjęli mnie i po krótkiej naradzie przeprowadzonej w swym języku postanowili zwołać consedium (zebranie) i udzielić mi wywiadu.

Udaliśmy się więc na II piętro do pokoju 301. Świątyni ten pokój nie przypominał. Cztery metalowe łóżka, stół drewniany na środku, parę krzeseł, biblioteczka, żadnych emblematów, nie licząc oczywiście Sophie Lohren wyciętej z tygodnika „Ekran" i umieszczonej na ścianie.

„Enignatos" — młody, barczysty, o cygańskiej urodzie żywy i gadatliwy — natychmiast jak przystało na prawdziwego arcykapłana przeszedł ze mną na ty, co ja skwapliwie podjąłem, wietrząc perfidnie, że w takiej bezpośredniej, koleżeńskiej atmosferze łatwiej będzie od niego wydostać parę ciekawych i mgłą tajemnicy osnutych praktyk mistycznych sekty.

Prorok „Kasjos" — mały, drobnej postury — był raczej jak na autentycznego proroka przystało bardziej powściągliwy, nie szastał słowem i myśli swe zamykał najczęściej w nieskomplikowanej formule „tak" lub „nie". „Kasjos" pochodzi z lubelskiego i przypomina chłopka-roztropka, ma 20 lat, ale już dawno wyrzekł się katolicyzmu; przez jakiś czas sympatyzował ze świadkami Jehowy, a gdy na studiach poznał „Enignatosa", porwany jego pogańskimi poglądami przystąpił do „Ausry". Poza tym jest spółdzielcą... spółecznikiem i działaczem ludowym, pisuje do „Zarzewia" i „Dziennika Ludowego", maluje, czyta Steinbecka, Hemingway'a, Faulknera, Norwida i marzy o karierze dziennikarskiej.

„Enignatos" ma lat 23 studiuje na III roku Filologii Klasycznej, zna szereg języków, zajmuje się dodatkowo antropologią. Urodził się na Bałutach w rodzinie inteligenckiej. Przy bliższym poznaniu od razu się zauważy, że posiada duże skłonności do mistycyzmu. Mówi językiem lekko zarchaizowanym. Podczas ćwiczeń na Uniwersytecie prowadzonych przez asystentów gdy wyłoni się do rozstrzygnięcia jakaś kwestia językowa, ostatnie słowo podobno należy zawsze do „Enignatosa". On też jest — jak sam mówi — głowaczem i gardłaczem „Ausry".

GERONTIA I APOTIA

Czas już wreszcie powiedzieć cóż to jest ta „Ausra", na czym ona polega, co głosi, jaka jest jej istota i jakie posiada plany na przyszłość?

Traktując rzecz ze sceptycznego dystansu można powiedzieć, że jest to pewne zrzeszenie nieformalne, gdzie kilkunastu młodych dziwaków bawi się na pół serio w religię, traktując to wszystko jako swego rodzaju nieszkodliwe hobby. Czy z punktu widzenia społecznego może to mieć jakieś znaczenie? Sądzę, że na razie raczej żadne. W każdym bądź razie bardzo minimalne.

„Ausraninem" może zostać każdy, kto chce i którego przyjmą pozostali członkowie. Kandydata może zaproponować jeden „ausranin", ale trzech musi tę kandydaturę zaakceptować.

Wśród „ausran" istnieją dwa stopnie członkostwa, tzw. apots i geronts. Apots — to członek, który nie opanował jeszcze w dostatecznym stopniu języka praindoeuropejskiego. Nie posiada prawa głosowania na zebraniach, który to przywilej należy wyłącznie do gerontów. Po roku i dokładnym zapoznaniu się z językiem, apots pasowany zostaje na geronta — członka pierwszego stopnia wtajemniczenia.

Jednocześnie obok gerontów i apotów istnieją tzw. bhlamenes — kapłani różnych bóstw indoeuropejskich. Ci mają tylko władzę duchową, a w sprawach organizacyjnych nie zabierają głosu.

Sekta „ausrańska" jest zrzeszeniem świecko-religijnym a wszyscy członkowie są nosicielami języka praindoeuropejskiego. Poza tym nawiązuje także do kultury starożytnej i do resztek kulturowych indoeuropejskich. Swą pasję językoznawczą przenieśli w strefę zainteresowań religijnych, wyrzekli się dotychczasowej wiary i ogłosili się neopoganami.

★

Na temat „ausran" pisał Bosek w „Kraju", wspominał o nich Brandys w „Nowej Kulturze" i Strzelecki w „Sztandarze Młodych". Pierwszy ich wykpił, drugiemu byli potrzebni do wykpienia czego innego, trzeci natomiast surowo napiętnował.

Dlaczego młodzi ludzie zamiast zbierać znaczki, exlibrisy czy łowić rybki — bawią się w religię? Czyżby epoka sputników rodziła zapotrzebowanie na mistycyzm? Czyżby uwieńczeniem zwycięskiego racjonalizmu miał być powrót do pradziejów? Czyżbyśmy na końcu cywilizacji mieli spotkać się z jej początkiem? A może współczesne proponowane światopoglądy budzą sprzeciw?

Zbagatelizować „ausran" nie jest trudno, ich społeczność liczy sobie niewiele ponad 200 osób i — jak dotąd — nie odgrywa tutaj żadnej poważnej roli. Ale postawa jaką proponują — posiada licznych zwolenników, i to szczególnie wśród ludzi z wyższym wykształceniem, wśród intelektualistów, studentów, księgarzy, urzędników itp. Może to przesyt współczesnymi zbyt uniwersalistycznymi ideologiami. Może to odrodzenie starych, wolnomularskich tradycji? Wskazywałaby na to pewna zbieżność nazw. Wśród lóż massońskich znajdujemy takie nazwy jak: „Poranek", „Jutrzenka", „Zorza" i inne.

„Ausranie" stworzyli nową liturgię, rytuał, proponują nowe kulty i wszechświatowy język. Czyżby tylko instynktem w tym wypadku się kierowali? Czy to rzeczywiście jest tylko udawanie i zabawa?

„Idee" ausrańskie nie są w gruncie rzeczy nowe, lecz jedynie symptomatyczne ze względu na czas i środowisko, w którym trwają i rozwijają się. Przecież te same idee, a w każdym bądź razie bardzo zbliżone do nich — głoszą neoarianie polscy, którzy zalegalizowani już od kilkudziesięciu lat istnieją na terenie kraju. Znajdują się wśród nich profesorowie uniwersytetów, naukowcy, artyści, prawnicy itp.

Czy warto wobec tego ciskać w ausran kamieniem jak to uczynił pewien anonim? Sądzę, że to zbyteczne. Jednak nie powinno nam być obojętne, że na bazie współczesnej nauki odradzają się i to szczególnie wśród studentów jakieś niezaspokojone mistyczne ciągoty. Jest to objaw mimo wszystko jednak niepokojący, co odnotowuję jako jeszcze jeden ciekawy rys naszych czasów.

---

1). Ze względu na młody wiek „bohaterów" niniejszego reportażu — redakcja ograniczyła się do opublikowania jedynie ich religijnych pseudonimów.

W poszukiwaniu mecenasa

(Dokończenie ze str. 1)

co tu dużo mówić, na pewno plastykom potrzebna.

Łódzki Oddział ZPAP liczy sobie równo 290 członków, z czego co najmniej dwie trzecie chwyta się nieraz prac mających ze sztuką naprawdę niewiele wspólnego. Nie można mieć do nich zresztą o to pretensji. Pecunia non olet.

Nienajlepsza sytuacja większości łódzkich plastyków nieraz była przedmiotem rozważań poniektórych publicystów. Bieda tylko z tym, że nawet zużywając cysternę atramentu sytuacja się nie zmieni. Zmienić natomiast sytuację może konkretne działanie, konkretna inicjatywa. Wydaje się, że spotkanie w Ośrodku Propagandy Sztuki dało temu działaniu chwalebny początek.

Spróbujmy zresztą pójść jeszcze dalej. Jak wiadomo, możliwości łódzkiego oddziału Centralnego Biura Wystaw Artystycznych kończą się gdzieś na maksimum 20 wystawach rocznie. A gdyby tak wobec tego pokusić się o zorganizowanie kilku wystaw przyzakładowych w świetlicach czy domach kultury?

Na pewno zakłady pracy dysponują również funduszami pozwalającymi na zatrudnienie plastyka sprawującego nadzór plastyczny w zakładzie. Jestem głęboko przekonany, że ów plastyk na brak zajęć na pewno by nie narzekał.

Przykłady podobnej a korzystnej, dla obu stron pomocy można by mnożyć. Ot, chociażby sprawa stypendiów dla studentów. Na całym nieomal świecie zakłady przemysłowe utrzymują na wyższych uczelniach „swoich" studentów, którzy po ukończeniu studiów wracają do „macierzystej" fabryki.

Czy u nas nie można by podjąć podobnej inicjatywy?

Zwłaszcza, że Łódź jest przecież miastem włókienniczym a w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych istnieje Wydział Wzornictwa Przemysłowego.

Przykłady, jak się rzekło, można mnożyć. Korzyść, jak się również rzekło, obopólna. Cóż więc pozostaje piszącemu? Chyba tylko życzyć mecenasom i artystom owocnej współpracy.

JERZY WILMAŃSKI

Leonard Zbigniewski

„Eksperyment S"

seksualny

W styczniu br., obradował w Bydgoszczy I Ogólnopolski Zjazd Służby Zdrowia Więziennictwa. Z wygłoszonych na zjeździe referatów szczególną uwagę fachowców zwróciła praca dr Eugenii Steinmetz z więziennego oddziału dla psychopatów w Rawiczu: „O osobnikach z odchyleniami w strukturze osobowości przebywających w więzieniu". Pani dr Steinmetz na podstawie kilkuletniej praktyki stwierdziła, że powstawanie tzw. degeneratives Haftpsychozen i charakteropatii, które szczególnie u więźniów „legitymujących" się bogatym życiem seksualnym, przeradzają się łatwo w zboczenia i zwyrodnienie, czerpie korzenie z napięcia efektywnego, ogólnego stanu niepokoju i zmian zachodzących w układzie nerwowym pod wpływem nagłego odosobnienia.

Referentka wysunęła postulat: „Lekarz więzienny i psycholog powinni oddziaływać na rozumowe hamulce psychopatów i charakteropatów, oraz dopomagać w opanowywaniu niezrównoważonych popędów". Inaczej mówiąc do zadań więziennej medycyny odpowiedzialnej za stan zdrowotny więźnia należy nie tylko opieka sanitarno-profilaktyczna ale i „sterowanie" życiem płciowym".

Wtedy właśnie na sali obrad padły głosy b. przychylnie i ciepło oceniające tzw. eksperyment „S" — seksualny wprowadzony po raz pierwszy w życie na terenie Ośrodka Pracy Więźniów w Łęgnowie k. Bydgoszczy.

W skali światowej eksperyment „S" nie jest rewelacją. Współczesna myśl penitencjarna zakłada nie stwarzanie więźniowi dodatkowych dolegliwości, lecz przystosowanie go do uczciwego życia w społeczeństwie. Nie ma więc praktycznych zwolenników teorii Lombrossa o „urodzonym przestępcy", która ustępuje miejsca znacznie humanitarniejszym i społecznie bardziej celowym metodom więziennej reedukacji. Skoro więc nie rezygnujemy z człowieka i za wszelką cenę staramy się osiągnąć jego „przeobrażenie", nie możemy rzecz zrozumiała wypuszczić z więzień po odbyciu kary ludzi-zboczeńców i psychopatów. W tym bowiem wypadku niesprawiedliwość byłaby podwójna: po pierwsze wyrządzilibyśmy dodatkową nie przewidzianą prawem krzywdę przestępcy; po drugie wytrącilibyśmy go być może na zawsze z życia w normalnym, kolektywie społecznym. Trzeba także pamiętać, że pobyt w więzieniu jednego z małżonków powoduje najczęściej rozbicie rodziny oraz rozwody.

Zanim więc eksperyment „S" stał się rzeczywistością u nas, gdzie indziej nabrał już niebywałego rozmachu.

W więzieniach ZSRR osadza się zboczonych płciowo oddzielnie zapobiegając dalszemu szerzeniu się demoralizacji. Tamże w więziennych koloniach rolnych dla przestępców żonatych z krótkimi wyrokami udziela się widzeń na osobności z żonami. Dla więźniów wyróżniających się zachowaniem i pracą naczelnik kolonii za zgodą Sądu może udzielić przerwy w odbywaniu kary (znane są one i w Polsce) względnie zezwala im na przebywanie w dniach wolnych od pracy poza obrębem kolonii. Niektórzy więźniowie — przodownicy pracy, mający trudne warunki rodzinne, co roku mają prawo ubiegać się o 14 dniowy urlop.

W Brazylii, Meksyku, Argentynie odwiedziny małżeńskie w więzieniach odbywają się w osobnych celach i niezależnie od wysokości wyroku sądowego. W Kolumbii więźniowie krótkoterminowi w ubraniu cywilnym i pod strażą odwiedzają żony, a nawet inne kobiety.

W 1959 r. Polska także włączyła się do tej akcji. Zapoczątkował ją podpisany przez Ministra Sprawiedliwości regulamin dla osób korzystających z widzenia na osobności. Składa się on z 11 treściwie zredagowanych punktów. Oto najważniejsze z nich:

pkt. 1 „Widzenia na osobności udzielane są więźniom jako najwyższa nagroda za szczególne wyróżnianie się w pracy, nauce i zachowaniu!

pkt. 5 „Widzenia na osobności udzielane są wyłącznie żonom więźniów".

pkt. 9 „Odwiedzający nie mogą przekazywać więźniom pieniędzy ani innych przedmiotów wartościowych".

Za miejsce urzeczywistnienia eksperymentu wybrano Łęgnowo, które ma odpowiednie warunki lokalowe.

Gdy wiadomość ta dotarła do ok. 700 więźniów OPW w Łęgnowie, z wyrokami do lat 3 i z krótkimi „końcówkami wyroków przyjęli ją początkowo z niedowierzaniem: — E tam, bujda — mówili poniektórzy. Radziby nas wykończyć, wyzyskać... Inni oponowali: Teraz już nie ten duch. Nie ten... Walka idzie o człowieka, o to, żeby po zwolnieniu był przydatny dla społeczeństwa i nie stanowił dlań ciężaru.

Byli też i tacy zwłaszcza na wolności, co się obruszali: — Panowie. Tego już za wiele. Chcecie z więzień robić sanatoria. Zapominacie o dolegliwości kary, o tym że trzeba krótko, bez ceregieli.

To czego dokonano w Łęgnowie nie jest ani bujdą, ani namiastką sanatorium. Pozwólcie teraz przemówić reporterowi, który był na miejscu i rzecz oglądał.

Dookoła więziennego majdanu skupiają się drewniane baraki ogrodzone siatką i parkanem. Tylko strażnik przy bramie przypomina, że za chwilę przekroczymy próg innego świata. Zamiast okratowanych cel czysto utrzymane sale zastawione pryczami z oknami bez krat. W dzień przebywają w nich dyżurni, reszta pracuje na budowlach, uczy się na kursach murarskich i betoniarskich, albo w szkole podstawowej.

Więźniowie swobodnie poruszają się po terenie ośrodka, są na ogół zdyscyplinowani, chociaż niejeden z nich był kiedyś „zawadiaką" i „chojrakiem". Z pewnością takie zdyscyplinowanie jest często upozorowane, wywołane, nie zmianą sposobu myślenia i postępowania, lecz koniecznością dostosowania się do ogółu. A ogół więźniów w Łęgnowie strzeże jak źrenicy oka swojej „magna charta libertatum", która wbrew twierdzeniu sceptyków stanowi poważną zachętę do poprawy. To co zastałem w Łęgnowie wywołało u mnie wprost zdumienie, podziw, a potem szacunek dla tych — którzy pracują dla nas — zwierzył się więzień W., młody chłopak — mankowicz, który redaguje w więzieniu dwutygodniową gazetkę „Dziś i Jutro".

— Ten ludzki, rzeczowy stosunek zdopingował mnie oraz grupę aktywniejszych współwięźniów skupionych wokół gazetki i radiowęzła — ciągnie W. — do zorganizowania kasy zapomogowo-pożyczkowej dla tych rodzin współwięźniów, które znajdują się w złej sytuacji materialnej. Składka wynosi od osoby — 2 zł. miesięcznie. Ubiegający się o pożyczkę z wolności musi przedłożyć komitetowi więźniów zaświadczenie o stanie materialnym. Komitet pod kuratelą naczelnika ośrodka gospodaruje funduszami kasy.

Rozpisałem się o tym, gdyż dla wielu ośrodków pracy, nawet więzień zamkniętych, jest to inicjatywa godna dalszego upowszechnienia.

Cokolwiek jednak nie zwiedzałem w Łęgnowie, gdziekolwiek nie zajrzałem okiem reportera, zawsze wracałem myślą do głównego celu mego rekonesansu — śmiałego eksperymentu „S".

Jego dotychczasowa tajemniczość zaczęła stopniowo się odsłaniać i oto co ujrzałem: — Drewniany, przestrzenny barak, wyglądał jak wiele innych baraków, przyziemnie i niezbyt ciekawie.

Na jego wnętrze składała się sala ogólnych widzeń dla więźniów i rodzin, z długimi ławami i stołami po bokach oraz cztery pokoiki przylegające równolegle do wąskiego korytarza; wchodzi się doń z podwórza oddzielnym wejściem. Nie na tym tylko polega dyskrecja widzeń na osobności. Pokoiki niczym nie różnią się między sobą; okno zasłania firanka, pod ścianą łóżko ze zmianą bielizny pościelowej i urządzenia toaletowe. Po środku — stolik i krzesło.

Małżonkowie zamykają się od wewnątrz na haczyk; strażnik, który pilnuje aby widzenie odbyło się w sposób regulaminowy i nie trwało dłużej niż cztery godziny, przebywa na korytarzu.

Barak leży niedaleko stacji, a widzenia na osobności i ogólne odbywają się tu w każdą niedzielę od 8 do 18-tej. Lekarz „steruje życiem płciowym" na razie w ten sposób, że co pewien czas wygłasza przez radiowęzeł pogadanki dla więźniów o higienie seksualnej.

Dobrze jednak by było, aby również co pewien czas badał on obie strony, a nie tylko męża-więźnia, gdyż istnieje możliwość zakażenia chorobami przyniesionymi z zewnątrz. Badanie lekarskie żon można byłoby połączyć z ogólną kontrolą przeprowadzaną przez służbę więzienną.

Widzenia na osobności udzielane są przez naczelnika ośrodka na wniosek wychowawcy i na prośbę małżonków. Społeczny sens tych widzeń polega na utrzymaniu więzi małżeńskiej i rodzinnej, a zarazem na zapobieganiu rozwojowi psychopatii i degeneratives Haftpsychosen.

Czym jest eksperyment „S" w oczach rozdzielonych małżonków? Więźniowie trochę są zażenowani tym pytaniem, rumienią się i wyrażają uznanie; żony w listach do naczelnika piszą otwarcie: *„I lekarz stwierdził, że moja choroba wymaga męża, któremu byłam wierna i którego nie chciałabym zdradzić do końca życia".*

Inny list: *„Ponieważ jestem zmuszoną się roześmielić i do obywatela komendanta wyznać swoje dolegliwości, które ciężko mi bez męża przeżywać. Gorąco proszę komendanta o udzielenie mi na osobności widzenia z moim mężem chociaż na cztery godziny".*

Daremnie ludzie polujący na egzotykę szukaliby w łęgnowskim eksperymencie taniego sex appealu. Mogę im powiedzieć otwarcie. — Nie znajdziecie go tu. Natomiast znajdziecie udaną i niewątpliwie śmiałą próbę sterowania życiem płciowym więźnia, które bez wątpienia stanowi bardziej skuteczną formę normowania instynktów i impulsów, aniżeli ogólnie przyjęte stosowanie środków uspokajających.

Ostatnio eksperyment „S" znalazł zastosowanie w więzieniu zamkniętym dla długoterminowych w Strzelcach Opolskich.

ŁODZIANIE 1960

ANTONI KASPROWICZ

Debiut poetycki naszego łódzkiego Kasprowicza (Antoniego) przypada na rok 1935. Wydał wtedy (dzięki dotacji pieniężnej Mieczysława Jastruna) swoją pierwszą książkę „Słońce za murem". Wiersze te, jak zanotował Hieronim Michalski, wyszły „całkowicie spod znaku muzy społecznej".

Książka zrobiła furorę wśród robotników i sąsiadów. Mieszkanie Kasprowicza na Przędzalnianej 90 stało się miejscem tygodniowej pielgrzymki. Odwiedzali młodego poetę znajomi i nieznajomi. Okazywano w różny sposób swoją sympatię. Ofiarowano mu ptaki w klatkach, szczygły, makolągwy, kanarki. Robotnicy chcieli się dobrowolnie opodatkować i ufundować miesięczne stypendium w wysokości 200 złotych. „Ty siedź i pisz, żebyśmy mieli sławę".

Kreśląc portret poety, nie wolno pominąć jego mecenasów. Tych, którzy przychodzili do niego z ptakami, którzy chcieli się składać na stypendium, którzy dali mu najpiękniejszy posag — serce. Ludzi znających cenę kromki suchego chleba i znających różnicę pomiędzy biedą i nędzą. Pracowników od Geyera, Scheiblera, Grohmana. Z ulic, które były zamykane bramami dla ogólnego ruchu kołowego, ponieważ mieściły się w granicach zakładów fabrykanckich. Mieszkańców ulic, które przypominały wieś, biegły pośród płotów, za którymi widać było drzewa; przy których stały fabryki i domy „familijne".

Zastanawiające jest to zainteresowanie „swoim" poetą. Nie odgrywała tu roli ocena artystyczna. Miarą oceny był fakt ukazania się książki. I to, że autor, syn tkacza, był „taki sam" jak sąsiedzi. Ponadto jeszcze okazał się poetą, który jak Bogumił z „Nocy i Dni" „żył kroplami dni powszednich i starczało wiary, że w tych kroplach, tak samo jak i w morzu, całe niebo można zobaczyć". Próbował wyrazić słowami to, co inni tylko odczuwali.

Pierwszy występ literacki odbył się w Pabianicach w roku 36. Kasprowicz miał mówić na temat „Słońca za murem". Oczywiście, odbywała się ta procedura inaczej niż dzisiaj. Nie było urzędowych skierowań. Przede wszystkim stanęło pytanie: za co pojechać? Autor zwrócił się do znajomej sklepikarki: „Pani Nowicka, niech mi pani pożyczy 2 złote, muszę gdzieś jechać". Za dwa złote pani Nowickiej autor tomu wierszy wyrusza na swój występ.

Ale w Pabianicach już „czekają" na niego. Wszystko odbywa się zgodnie z planem klasycznej tragedii. Akt pierwszy zagaja Głos, należący do pewnego posła, socjalisty: „Co, komunistę będziecie przyjmować?". W akcie drugim na przystanku czeka agent, który odwozi naszego prelegenta do Łodzi. Akt III: kazanie umoralniające.

Kasprowiczem zainteresowali się Zygmunt Jakubowski, Stefania Skwarczyńska, Piechal, Jastrun, Timofiejew. Otrzymywał listy od Sieroszewskiego, Tuwima, Zawodzińskiego, Zawieyskiego, Zagórskiego, który nawet go odwiedził. Był to, rzec można, podwójny mecenat: robotników i intelektualistów. Wszystko owiane jest dziś sentymentalną mgiełką. Ale tak było. Sąsiedzi — robotnicy ofiarowali chleb, poeci — „edukację estetyczną". Piechal namówił go, żeby napisał o stypendium. Za te pieniądze pojechał w góry. Pierwsza podróż „w świat".

W roku 1937 ukazują się „Chwasty płonące". „Zadziwia wprost w tej książce robotnika łódzkiego poziom kultury literackiej (i ogólnej) sprawności ekspresji i techniki poetyckiej — więc krótko mówiąc — ujawniony talent, powiedzmy, (żeby nie wywołać na razie większych sprzeciwów) „wykonawczy". Tomik ten legitymuje Łódź... jako środowisko poetyckie, gdzie taki „awans" intelektualny i takie rozumienie poezji były możliwe i spotkały się z pomocą..." pisze K. W. Zawodziński w 38 roku.

Nie chcemy pisać laurki wspomnieniowej. Nie oceniamy — po latach — drogi poetyckiej Kasprowicza. Jak widać to nawet po innym Kasprowiczu, Janie (nie krewniaku!) oceny, sądy i gusta zmieniają się. Nie jest naszym zadaniem rewizja czy potwierdzenie starych ocen. Chcemy zaznaczyć, że Antoni Kasprowicz należy do krajobrazu łódzkiego. Na progu jego twórczości wiały dlań wiatry bardzo nieprzyjazne (bieda z nędzą) i bardzo przyjazne. Przyjazne było miasto.

Kasprowicz mieszka dziś w innej dzielnicy, na Chojnach i jak przystało na rodowitego „łodzianina" — na poddaszu (zresztą bardzo przyjemnie urządzonym). Ma złożony w Wydawnictwie Łódzkim tom „Wierszy wybranych". Kończy pracować nad tomem opowiadań. Lecz my czekamy na tom łódzkich wspomnień To powinna być ciekawa książka.

Tekst P. Zdjęcia: B.

MEGAWATY w worku ŻYTAWSKIM

Na placu budowy elektrowni inż. A. Bratkowski (pierwszy z lewej) absolwent AGH w Krakowie i inż. P. Steinhorst (wieloletni budowlany) — są zadowoleni z przebiegu prac przy fundamentowaniu pierwszego kotła elektrowni

(Dalszy ciąg ze str. 1)

A więc rachunek ekonomiczny prawidłowy.

Jak wyglądacie, panowie sceptycy...?

Ludzie

Jest ich blisko 6 tysięcy. Zjechali tu z całej Polski. Doświadczeni w zawodzie i bez zawodu. Inżynierowie, co to z niejednego pieca chleb jedli i nowoupieczeni absolwenci różnych szkół i uczelni. Entuzjaści i romantycy wielkiej budowy i obiboki. Starzy i młodzi, przeważnie młodzi. Poszukiwacze wysokich zarobków i zwykli kanciarze. Piśmienni i analfabeci. Żonaci i kawalerowie. Bardzo niewiele kobiet (stosunek kobiet do mężczyzn = 1:6). Konglomerat charakterów, upodobań, temperamentów, dialektów i obyczajów.

Z końcem bieżącego roku pracować będzie przy inwestycji turoszowskiej około 9.000 osób, a w roku 1962 — szczytowym roku prac — blisko 11.000 osób. Po zakończeniu inwestycji KPE-Turów zatrudniać będzie stale ponad 5000 osób.

Kim są, skąd pochodzą, jaki jest ich rodowód?... Eugeniusz P. ma 19 lat. Pracował w gospodarce w rodzinnej wsi Popkowice (woj. lubelskie). Gdy matka wyszła po raz drugi za mąż — rozpoczęły się niesnaski z ojczymem. Pewnego dnia wyszedł z domu i ruszył „w Polskę". Na robotę. Dotarł do Bogatyni, centrum kombinatu turoszowskiego.

— Słyszałem, że dobre zarobki. Fachu nie mam, więc za pomocnika. Popracowało się na jednym, to na drugim placu budowy. Tych placów to tu dużo. Człowiek się rozglądał, gdzie lepiej płacą i tam zostawał. Wszędzie za pomocnika. Bo ja — panie — byle zarobić. Jak się nie ma własnej ziemi — to forsa jest ważna...

— A co dalej? — pytam chłopca o nieufnych oczach.

— Za półtora roku pójdę do wojska. Do tego czasu chyba tu pobędę. A po wojsku... albo to budów brakuje? Znajdzie się panie, znajdzie... Byle tylko dziewcząt więcej było, bo tu ich jak na lekarstwo, dyrekcja nie dba...

* * *

Stoję z inżynierem Szyszko na wąskim pomoście przerzuconym ponad lasem uzbrojeń fundamentów. Tu za kilka dni poleje się beton. Tysiące, tysiące ton, czy — jak kto woli — tysiące metrów sześciennych. Wokół nas tętniący hukiem motorów rozległy plac budowy elektrowni — giganta. Niewiele ludzi, dużo za to maszyn.

— Prawie rok rwałem się tutaj. Nie puszczali. A ja z uporem maniaka: Turów i nic więcej! Mówili: „przecież zaczynałeś od początku, więc zostań. Huta w rozruchu, ale wciąż moc roboty" ...A ja, że dla mnie Huta — Warszawa — to sprawa już skończona. Ruszyła przecież. A w Turowie dopiero fundamenty kopią...

REKORDY?

Rzecz wcale nie o sporcie. Ani o tych rekordach, które padają na budowie wielkiej inwestycji. Posłuchajcie...

Statystyki wykazują, że największa ilość wypadków samochodowych na obszarze „worka żytawskiego" — ma miejsce właśnie tu, w Bogatyni i okolicy.

Najszybciej bowiem jeżdżą szoferzy kombinatu. Ci na ciężkich, żelaznych wywrotkach. Wąskie, kręte uliczki Bogatyni, serpentyną wijące się drogi i szosy zagłębia — a panowie kierowcy „zasuwają" załadowaną, kilkutonową wywrotką sześćdziesiąt na godzinę!

Ostatnio padł inny rekord. Na wozie osobowym. Trasę Bogatynia — Wrocław pokonano w dwie godziny i 10 minut (!)...

Nic też dziwnego, że baza samochodowa kombinatu ciągle cierpi na brak samochodów...

Inżynier, którego praktyka energetyczna liczy tyle, ile Polska Ludowa, mówi spokojnie, ale wyraźnie przeżywa raz jeszcze tamte chwile.

„No i wydostałem się! — zatacza szeroki ruch rękami — tu teraz nieciekawie, ale jak pójdzie beton, a potem..."

Płyną słowa, notuję je w pamięci, a jednocześnie myślę: pasjonat czy romantyk? I po chwili zapisuję w notatniku obok nazwiska inżyniera dwa słowa: pasja energetyka...

* * *

Koparka RS-560 w całej okazałości. Wysokość 21 m, długość 75 m, szerokość 18 m, ciężar 961 ton. Wydajność 700 m³/godz. Obsługuje 7 osób.

Albo ten. Ma 20 lat, wychowanek Domu Dziecka gdzieś w Wałbrzyskiem. Skończył budowlankę, jest zdunem. Ale teraz przygotowuje się do betonowania. To go pociąga i ciekawi. Przystojniaczek, o bystrym, inteligentnym spojrzeniu czarnych oczu.

— Nie, nie oszczędzam. Trochę posyłam siostrze, a resztę... No, kupuję dla siebie, ubranie, płaszcz, czasem książkę. Dobra tu robota, ale po robocie nudno. Mało rozrywek. Mamy w Sieniawce klub, bibliotekę. Ale co to za biblioteka?... Może 500 książek, a nas jest 2.000. Chciałoby się poczytać coś przygodowego, jakąś sensację, coś historycznego... Nie ma. Niedawno powstał u nas ZMS. To się zapisałem. Może będzie ciekawiej. A z wojska wrócę tutaj...

Gdy podaję mu rękę na pożegnanie — długo wyciera swoją o watowane spodnie.

— ...Brożek jestem — i po chwili dodaje — tu się dobrze oddycha, warto będzie sprowadzić sobie żonkę...

* * *

Ryszard Paszek przybył z Poznania. Jest brygadzistą cieśli. Od 14 lat w zawodzie.

— Jak się patrzę na tę robotę — to myślę jedno: dość tego wałęsania się po Polsce! Żyłem dotąd jak cygan. Z jednej budowy na drugą. W Poznaniu żona, dzieci, złe mieszkanie. A tu i roboty nie zabraknie i mieszkanie dostanę porządne. Bo przecież budują i dają.

— Nie wszystkim — próbuję prowokować.

— Panie, za dużo tu hołoty, żeby wszystkim dawali. Przesieją, sami odpadną i tym, co zostaną dadzą. Tylko żeby chcieli przyjąć na stałe — dodaje z westchnieniem... Dom tam, a ja tu — owszem zarabiam te 3—3,5 tysiąca, ale jak rodzina rozdzielona, to grosz się kupy nie trzyma...

To nie są przykłady wybrane. Na każdym kroku, na każdym placu budowy, w bazie transportu i w barakach robotniczych, w kolorowych domkach Opolna i w adaptowanych poniemieckich koszarach w Sieniawce, gdzie mieści się sztab i hotel dla ponad 2000 załogi jednego z głównych wykonawców — Dolnośląskiego Przedsiębiorstwa Budowy Elektrowni — wszędzie spotkacie się z takimi ludźmi. Większość z nich przyjechała tu rzetelnie pracować. Różne mają kłopoty. Różnie dają sobie z nimi radę. Ale dla wielu z nich zagłębie turoszowskie przestaje być tylko miejscem codziennej pracy. Staje się domem rodzinnym. I to jest chyba bardzo istotna inwestycja.

Spytacie: gdzie problemy? Wierzcie reporterowi, że są ich tysiące. Tylko niektóre z nich rozsypane zostały wśród powyższego tekstu.

Sami widzicie — temat istotny, często nieznany — pozór w fakty i obrazy. Na pewno niekompletne. Ale wystarczające, by z największym szacunkiem i uwagą śledzić i pomagać w realizacji zamierzenia, które po Nowej Hucie, jest zamierzeniem, które nawet i w Europie nie często się spotyka.

TEKST:
Jerzy Łańcut

ZDJĘCIA:
Stanisław Ćwierlniak

konfrontacje

Z wypowiedzi naczelnego dyrektora kombinatu:

... Turów — to nie pastwisko, na którym zbudowano rusztowania, robotnik przepija pieniądze, a inteligencja odseparowuje się. Staramy się wpoić ludziom przekonanie, że Bogatynia i całe zagłębie leżą w Europie...

Z wypowiedzi dyrektora wrocławskiego teatru „Rozmaitości"

...posyłałem do kombinatu swoich ludzi. Niestety, nie potrafili i nie mogli się dogadać w sprawie występów naszego teatru. Po pierwsze nie bardzo można było znaleźć kogoś, kto się tymi sprawami interesuje. Po drugie — oświadczono naszemu przedstawicielowi, że brak... funduszy.

Z wypowiedzi mieszkańca baraku robotniczego:

...owszem, restauracje i kawiarnie zrobiono na szyk. Ale robotnik, po robocie, wolałby jeść w stołówce. Bo w restauracji — to zawsze zamiast schaboszczaka, większa pokusa na dzwonko i ćwiartkę...

Jeden z niemieckich specjalistów, pracujących przy montażu olbrzymich koparek i zwałowarek:

...technika wysoka, może najwyższa. Ale wody do picia brak. Trzeba byłoby pomyśleć o kioskach z napojami. Przecież nadchodzi lato..

Z wypowiedzi młodego, niewykwalifikowanego robotnika:

...brak jest kursów, czy jakiegoś szkolenia przywarsztatowego. Od niedawna jest ZMS-może pomyślą... A szkoła zawodowa — to przydałaby się w ogóle...

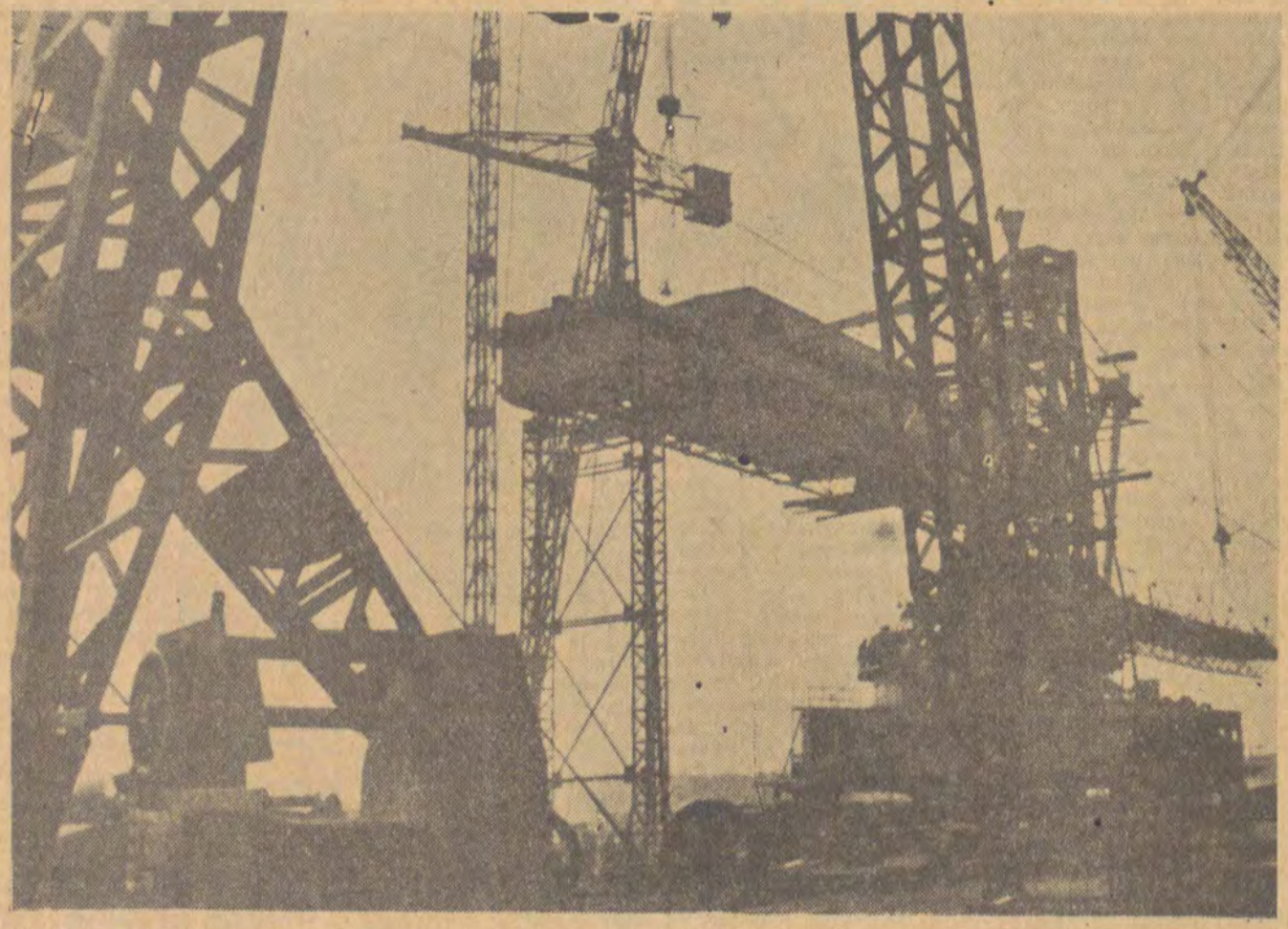

Koparka RS-1200, wysokość — 10 pięter (!), ciężar własny — 1900 ton. Urabia ziemię i węgiel na ścianach o wysokości ponad 20 m. Wydajność 1300 m³/godz.

LESZEK GOLIŃSKI

MALI EMISARIUSZE

W roku 1956 na Targach Poznańskich po raz pierwszy zorganizowano Międzynarodowe Targi Książki. Umieszczone w jednym pawilonie, przeszły na marginesie wielkich targów handlowych niemal bez echa. Nieliczni tylko bibliofile zdołali dobrnąć do cichego pawilonu najpiękniejszych książek świata. W pierwszych MTK wzięło udział 21 wystawców zagranicznych z 12 krajów.

Od tego czasu każdego roku w czerwcu odbywaja się kolejne Międzynarodowe Targi Książki. Po targach frankfurckich zdobyły one sobie największą renomę na świecie. Dzisiaj już każdy szanujący się wystawca poczytuje sobie za swój obowiązek wziąć udział w warszawskich targach, które zyskują coraz większy rozgłos za granicą.

Główne założenia MTK dotyczą rozszerzenia bazy dla eksportu polskiej książki oraz umożliwienia dokonania przeglądu książek zagranicznych polskim odbiorcom — księgarzom, bibliotekarzom i indywidualnym czytelnikom, co pozwala w konsekwencji na racjonalny import książek zagranicznych do kraju.

Historia dotychczasowych targów książki jest bardzo pouczająca. Już na II MTK w r. 1957, które odbyły się jeszcze w Poznaniu, liczba wystawców wzrosła do 39, a oprócz wystawców zagranicznych w imprezie tej wzięło udział 33 wystawców polskich. W roku następnym targi odbyły się już w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Uczestniczyło w nich 59 wystawców zagranicznych i 41 krajowych; wraz z Polską reprezentowanych było 19 krajów. Przez sale targowe przewinęło się wówczas około 50 tysięcy zwiedzających. Wystawcy zagraniczni, przedstawiciele renomowanych i sławnych na całym świecie firm, przyzwyczajeni do elitarnej publiczności byli tym natłokiem wyraźnie zbulwersowani. Ambasador Wielkiej Brytanii, zwiedzając Targi, powiedział w rozmowie z dziennikarzami: *„Polacy kochają książki i interesują się nimi, jak mi się wydaje, w stopniu znacznie większym niż moi rodacy"*.

IV Międzynarodowe Targi Książki zgromadziły już 108 wystawców, w tym 64 zagranicznych i 44 krajowych. Reprezentowane były 23 kraje: Albania, Austria, Anglia Belgia, Bułgaria, Chiny, Czechosłowacja, Dania, Francja, Holandia, Izrael, Jugosławia, NRD, NRF, Norwegia, Polska, Rumunia, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Szwecja, Węgry, Włochy i Związek Radziecki. W salach Pałacu Kultury znalazło gościnę 35 tysięcy różnorodnych książek wydanych przez około 1.200 wydawców z całego świata.

Najpoważniejszym jednak wydarzeniem zeszłorocznych targów było to, że po raz pierwszy wprowadzono indywidualną sprzedaż książek zagranicznych dla publiczności polskiej. Trudno o większą atrakcję dla dziesiątków tysięcy bibliofilów z całego kraju. Książek nie mogli oni, oczywiście, zakupić na miejscu, gdyż wystawcy dysponowali tylko pojedynczymi egzemplarzami, ale mogli wybrane tytuły zamówić. Posypały się też zamówiena jak z rogu obfitości. Zagraniczni korespondenci pisali: *„Istniejące tutaj zainteresowanie książkami jest wprost niespotykane w żadnym innym kraju. Warszawskie Targi Książki cieszą się coraz większą popularnością i prestiżem i zdobywają kulturalne znaczenie przewyższające imprezy tego rodzaju na wschodzie, gdyż na tych targach książki są w wolnej sprzedaży dla publiczności..."*

A w tym roku? W tym roku 31 maja odbyło się uroczyste otwarcie V Międzynarodowych Targów Książki. Powierzchnia targowa została jeszcze bardziej rozszerzona, zajmuje już trzy piętra dwustumetrowego pałacu. Aby obejrzeć wszystkie stoiska zwiedzający będzie musiał odbyć długą wędrówkę, przeszło trzy i pół kilometra. 40 tysięcy książek ustawiono na półkach i w gablotach targowych: swój udział zgłosiło sto kilkadziesiąt firm z całego świata. Niejako na marginesie tegorocznych targów urządzona będzie Wystawa Grafiki Książkowej z ekspozycją najlepszych osiągnięć graficznych i wydawniczo-poligraficznych ostatnich trzech lat, a mamy się czym pod tym względem pochwalić. Część ekspozycji oddano firmom muzycznym, gdzie powstał salon muzyczny: przystań melomanów. Można będzie tu każdego dnia posłuchać najpiękniejszych nagrań z całego świata. Prócz tego w czasie trwania targów przewidziany jest specjalny koncert polskiej muzyki nowoczesnej, ale nie muzyki mechanicznej.

Nie tu miejsce na podsumowywanie osiągnięć handlowych targów — sięgają one setek tysięcy dolarów i rubli. Zawierane są oficjalne i pół-oficjalne transakcje, przybywają księgarze z całego kraju, aby dokonać na miejscu zamówień dla swoich księgarni. Ten jednak handlowy aspekt imprezy, mający kapitalne znaczenie dla ożywienia naszych stosunków handlowych i kulturalnych z całym światem stanowi tylko jedną stronę medalu.

Dla nas, zwyczajnych pożeraczy książek, bibliofilów, miłośników literatury, muzyki, plastyki — Międzynarodowe Targi Książki są przede wszystkim poważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym kraju. Od kilku lat książki z całego świata napływają do Polski zwiększoną falą i polskie książki płyną za granicę, nie zawsze zresztą legalnymi drogami. Zainteresowanie tą książką jest coraz większe, książka staje sie niezawodnym łącznikiem między narodami.

Mam przed sobą spis wystawców na tegorocznych targach. Niektóre firmy dobrze są już w Polsce znane: oto znane z produkcji niezrównanych atlasów i map Oxford University Press. Oto wspaniałe słowniki i płyty do nauki języków obcych Langenscheidta, Longmansa, Greena, oto Max Hueber Verlag — Anxel Juncker Verlag, oto Linguaphone, firma światowej sławy, Assimil, Polyglotte. Oto piękne albumy i reprodukcje, tak u nas poszukiwane, firmy francuskiej Arthauda, Brauna, czy firmy szwajcarskiej M. Weber & Cie. Oto płyty DGG, firmy amerykańskiej Consolidated Music Sales, czy francuskiej Alphonse Leduc. Poszukiwacze dzieł naukowych na pewno trafią na stoiska firmy Georg Thieme Verlag czy Verlag Chemie, albo Saundersa. Miłośnicy nauk technicznych ślęczeć będą nad stoiskiem Dunod Editeur, Presses Universitaires de France, czy Mc Graw-Hill Book Company. A łodzianie? Łodzianie z dumą zatrzymają się przede wszystkim przed pięknym stoiskiem Wydawnictwa Łódzkiego, urzadzonym w kuluarach Sali Kongresowej, gdzie mieścić się będą wszyscy wystawcy polscy w liczbie około 50.

W tym roku również dokonywać będzie można indywidalnie zakupów obcych książek, z tym jednak, że klient będzie musiał na miejscu uiścić zaliczkę na zamówioną książkę, a pozostałą część zapłaci przy odbiorze, przy czym specjalna księgarnia będzie gwarantowała dostawę książki do domu. Obostrzenie takie stało się konieczne po zeszłorocznych doświadczeniach. Okazało się bowiem, że wielu miłośników książek zagranicznych miało większe apetyty, niż możliwości i zamawiało książki „jak leci" bez oglądania się na fundusze. Efekt był oczywiście taki, że wiele książek zamówionych, które przysłane zostały do Polski, nie zostało po dzień dzisiejszy wykupionych. Oczywiście koszt takich niesumiennych transakcji ponosić musiał „Dom Książki", zaopatrując się w pojedyncze egzemplarze książek nie zawsze mu potrzebnych i nie zawsze znajdujących innych nabywców.

Osiem dni trwać będą V MTK. Po ośmiu dniach będziemy mogli dokonać ich bilansu. Ale bilans kulturalny jest już widoczny: spotkanie emisariuszy kultur wszystkich niemal narodów. Małych emisariuszy w barwnych obwolutach.

Maj 1960 r.

(Dokończenie ze str. 2)

Związek Radziecki do szukania porozumień w drodze rokowań z pozycji ludzi interesu. Wallstreet Journal pisze, że niektóre urywki przemówienia Eisenhowera były „niemal bezpośrednio skierowane pod adresem Chruszczowa". Jego orędzie do Kremla — pisze dziennik — brzmiało: „Zaprzestańmy popychania się i krzyków, podejmijmy grę która rozpoczęliśmy przed Paryżem". Prezydent Eisenhower nie może długo wytrwać w przykrej, karkołomnej pozycji, zwłaszcza, że w ramach kampanii wyborczej demokraci zadają mu ciężkie ciosy.

Premier Chruszczow nie zamierza mu jednak pomóc. Polityka przecież to nie salonowe igraszki. Mówi więc na Wszechzwiązkowej Naradzie Przewodników:

„...Sami Amerykanie mówią, że ich prezydent ma dwa obowiązki — jeden grać w golfa, a drugi być prezydentem, który z nich jest głównym obowiązkiem? Główny — chyba grać w golfa a dodatkowy — być prezydentem".

Słowa te są ostre, ale prawdziwe. Polemika jest twarda, bo tam gdzie chodzi o pokój nie można okazać słabości.

Loty U-2 zostały zawieszone. Premier Chruszczow odłożył podpisanie traktatu pokojowego z NRD. Wznowione zostały rozmowy w sprawie wstrzymania doświadczeń z bronią termojądrową. Obie strony mówiąc o konferencji na szczycie używają terminu „odroczona" a nie zerwana. Obie strony wyrażają wiarę w rokowania. To chyba stanowi podstawę nadziei jaką wynieść można z dramatycznego maja 1960, nadziei na to, że zimna wojna nie wróciła.

JACEK LEBEN

BOGATYNIA — dwie szkoły, jedna apteka, jedno kino, jedna rzeka (Miedzianka), jedenaście mostków, dwa kościoły, jeden przystanek autobusowy, jeden dworzec, jeden Dom Handlowy PSS — ale jaki!, jedna „Cafe Roma" (kawiarnia, restauracja, dancing, europejskie wnętrze, najuprzejmiejsza kelnerka w Polsce (!) — pani Krysia, trzy gospody ludowe, szał neonów, skwery i skwerki, „Delikatesy", dużo kwiatów i poczta. W budowie — szkoła i dom mieszkalny o 52 izbach. Stolica zagłębia i rezydencja biurowa Kombinatu Paliwowo-Energetycznego i 3 kioski „Ruchu".

MORKOCICE — przedmieście Bogatyni, siedziba sztabu energetyków (500 m. od biur Kombinatu) w języku urzędowym zwanego „Pion Elektrowni" piekarnia i magazyny Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego. Redakcja organu prasowego „Biuletyn Turowa".

OPOLNO—ZDRÓJ — rezydencja high — hifu Kombinatu, kolorowe domki, rozkoszna „Chatka Puchatka" (doskonała lodówka z prześlicznymi butelkami od 45 proc. wzwyż), masarnia PSS, czterech prywatnych rzemieślników, duma inteligencji kombinackiej — Dyskusyjny Klub Filmowy „Turów" z super zero-ekranowymi filmami (!).

SIENIAWKA — rezydencja i sztab generalny DPBE, najlepsze drogi betonowe, kiosk „Ruchu" (gazety przychodzą w „kratkę"), „cudowna mapa" — cel zbiorowych wycieczek wszystkich wątpiących.

TRZCINIEC — las rusztowań i zbrojeń, największa niecka pod największą elektrownię w Polsce i jedną z największych w Europie, miejsce koncentracji koparek, spychów pneumatycznych młotów — słowem miejsce największej mechanizacji, kilkanaście domków, piękny krajobraz.

TUROSZÓW—najgorsze drogi w zagłębiu, fundamenty gigantycznych taśmociągów, kopalnia Turów I, wielkie nasilenie ruchu kołowego, imponujące hałdy; moc pyłu, gospoda lufowa (jadłodajnia), dworzec.

ZGORZELEC — siedziba powiatu, dwa kina, jeden hotel, wiele knajp, duże spożycie alkoholu; ponad 14.000 mieszkańców (w r. 1965 będzie ponad 22.000), jeden Dom Kultury stale borykający się z trudnościami, urocza kolonia „bliźniaków" mieszkalnych — w rozbudowie — dla ludzi z kombinatu, gaz, rzeka, dwa mosty, dworzec, hotel robotniczy kombinatu, księgarnia, apteka i stały widok na zagranicę.

To są dominanty turoszowskie. A z pomniejszych — wyliczając w porządku niealfabetycznym:

WITKA — zapora wodna o pojemności 3,5 miln. m kw., MIKUŁOWA — rozdzielnia energetyczna (systemowa), DZIAŁOSZYN — przekaźnik telewizyjny.

Pół żartem — pół serio

Widok na odkrywkę starej kopalni Turów I. A te kominy — to elektrownia Hirschfelde, po drugiej stronie Nysy.

„ODGŁOSY"-dla dzieci

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Wio, koniku

Wio, koniku! Wio, koniku!
Takich fryzur jest bez liku...
Więc i ja zapuszczam ogon,
Czemu nie, gdy inne mogą...

Dziś zadanie miałam z matmy.
Chłopcy krzyczą — Słupek łatwy!
A ja stoję przy tablicy.
Ani rusz nie mogę zliczyć.

Ile było śmiechu, krzyku...
— Wio, koniku! Wio, koniku!
Machnij raz ogonem, Ado!
Rusz z kopyta, odpowiadaj!

A ja stoję przy tablicy.
Ani rusz nie mogę zliczyć.
W głowie kręćka mam i bzika
Od tych wrzasków o konikach.

Nie pomogły, oczywista,
Ani „hetta", ani „wista"!
Nie pomogły kukuryku,
Ele mele, fiku miku.

Pani mówi — Moja córko,
Czym zajmujesz się? Fryzurką?
Choć się czeszesz jak pannica,
Kiepska z ciebie uczennica.

Wiosna w lesie*)

W lesie wiatr wiosenny czyści
Ścieżkę z zeszłorocznych liści.

Ucieszyły się zwierzęta,
Że tak czysto jak od święta.

Aż małżonkę lis ofuknie:
— „Jeszcze masz zrudziałą suknię?"

Miś w ubraniu przespał mrozy,
Więc garnitur nowy włoży.

Gil zielone chce mieć spodnie.
Wiosna! Czas się stroić modnie.

Wiosna! Wiosna! Na polanie
Niesłychane zamieszanie.

Sukno strzygł uszami zając,
Cienkie nici motał pająk.

Jeż pożyczył swoich igieł.
Kret raz po raz ściegiem śmigał.

(O, krecisko chociaż ślepe,
Ponoć szyło jak najlepiej!)

Wreszcie niedźwiedź ciężko sapiąc
Wyprasował odzież łapą.

A wiewiórka złotą kitką
Oczyściła zręcznie wszystko...

No i już, no i gotowe,
Moje panie i panowie!

Wnet zrobiono pokaz mody
Elegancji i urody.

Wyróżnione zaś strojnisie
Utrzymały wieniec z szyszek.

*) Ze zbioru wierszy dla dzieci pt. „ZOO na zabawie", który ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego z barwnymi ilustracjami Czesława Sadowskiego.

Ognisko

Już ognisko płonie w polu
Na pustym ściernisku.
Siądź i ty przy ogniu. Proszę.
Tylko nie za blisko.

Miło gadki opowiadać.
Śpiewać chórem pieśni...
Ach, chłodniejsze już poranki
I wcześniejsze zmierzchy!

Upieczone jesz kartofle
(Głód najlepszy kucharz).
Chociaż z węglem i z przyswędem.
Chociaż w palce dmuchasz.

Stos wystrzeli i przygaśnie.
Ptak samotny krzyczy.
I w powietrzu czuć już trochę
Jesiennej goryczy.

HONORATA CHROŚCIELEWSKA

Przesądna żabka

Kumkała żaba żabie do ucha:
Kumo, nieszczęście. Niech kuma słucha:
Widziałam rano na własne oczy,
Jak groźny bocian nad rzeką kroczył.
Niech kuma pilnie strzeże żabiątek,
Bo dziś trzynasty i dzisiaj piątek
I lewą nogą jak na złość wstałam,
A i przez lewe ramię spojrzałam...

— A fe, kumoszko. Odkąd to żaby
Wierzą w przesądy, jak stare baby?
Wstydź się. Nad rzeką latawiec leży,
Którym się bawił z Dorotką Jerzy

Rozmowa z kotkiem

Czemu ty kotku, czemu ty bury
Ciągle zadzierasz łepek do góry?
Myszki na strychu tańczą walczyka
A kot — leniuszek po drzewach bryka?

— Co mi tam myszy, ja wolę mleko,
I wiem gdzie ono, lecz to daleko:
Na ciemnym niebie, na Mlecznej Drodze,
Więc tylko smutnie oczkami wodzę...

TADEUSZ PAPIER

BAJKI dla małych i dużych

Igor Sikirycki

W bieżącym roku ma się ukazać w osobnych wydaniach pięć bajek Igora Sikiryckiego. Częściowo są one znane najmłodszym czytelnikom, gdyż były publikowane (w dużych skrótach) w „Płomyczku" (O raku łobuziaku'!, „Kolorowy balonik", „Cyrk w Szczyrku"), bądź też inscenizowane na antenie radiowej („O komarze i orkiestrze"). Wydawnictwo Łódzkie opublikowało „Przygodę biedronki", Ruch — „Kłopoty króla Gwoździka" i „Podkowę szczęścia". Nie jest to cały plon Sikiryckiego, ale wydaje mi się że i te pozycje, które wymieniłem, dają okazję do wstępnej oceny twórczości bajkopisarskiej poety. Więcej, powinny dać okazję do wydania tych bajek w tomie zbiorowym. I to koniecznie.

Niektóre motywy bajek Sikiryckiego są znane, wywodzą się z podań i bajek ludowych. Poeta nie zmienia ich zasadniczej interpretacji. Zachowuje wszystkie bajkowe motywy pierwowzoru. Jednakże jest w tej rzekomo powtórzonej bajce (raczej wykorzystanym motywie, np. motywie podkowy szczęścia) jakaś świeżość i nowość, która sprawia, że czytelnicy (młodsi i starsi) zabierają się do niej z niekłamaną ciekawością.

Na czym polega świeżość i jednocześnie urok bajek Sikiryckiego? Poeta umie trafić w zainteresowania i smak swoich czytelników. Znajduje dla nich „właściwe poetyckie słowo". Potrafi zaciekawić dobrze i przejrzyście skonstruowaną fabułą, żywą akcją. Bajki nie są pozbawione „kwiatów uczuć", wewnętrznego ciepła, które jest nieodzownym elementem lektury dla dzieci. Wiersz płynie lekko, rytmicznie.

Ale to są zalety, które można przypisać każdemu dobremu poecie. Sikirycki ma swój własny, jemu właściwy sposób podania historii. Sikirycki pisze jakby z przymrużeniem oka. I wie, że to przymrużenie oka zostanie przez czytelnika zauważone. Każda niemal bajka jest zaprawiona odrobiną drwiny. Niby jest „prawdziwa" i jednocześnie „nieprawdziwa". Dzieci na ogół wierzą w realność świata bajki. Wierzą, że drzewa mówią, ptaki mówią, zwierzęta mówią. Wierzą, że kolorowym balonikiem można dojechać do Afryki. Sikirycki nie skąpi im tych wzruszeń. Ale jednocześnie potrafi swoich bohaterów ukazać jakby w „ludzkich" wymiarach. Stawia ich często w sytuacjach dla nich niewygodnych, ośmiesza. Sprowadza ich do roli zabawki. Król jest królem-dzieckiem, jak łobuziak jest łobuziakiem-dzieckiem. Król, który chce odczepić raka od ręki musi wejść do wody, na skutek czego nabawia się kataru. Jednak nie wejdzie sam na wysoki komin, lecz każe tam wdrapać się kotu, który wypłasza stamtąd kawki powodujące złe działanie komina i w ten sposób „zarabia" dla Janka rękę królewny. Bajki Sikiryckiego nie są pozbawione fantastyki. Ale fantastyka tych bajek nie opiera się na wprowadzaniu już tak wyeksploatowanych w naszej literaturze krasnoludków czy Wiejskich Psot, nie odwołuje się do żadnych „cudowności". Zasadza się ona na połączeniu — jakby można powiedzieć — „zdrowego rozsądku", sprytu, tak charakterystycznego dla wieku dziecięcego z ciekawą przygodą. Nie oznacza to wcale, że świat przygody jest w bajkach Sikiryckiego ograniczony. Przeciwnie Sikirycki poszerza ten świat, wzbogaca go o nowe treści, podkreśla, że nawet najprostsze wydarzenia, na które się nie zwraca uwagi, zawierają w sobie dużo poezji.

Autor nie zawsze wyciąga z bajek wnioski moralizatorskie. Zostawia tę pracę czytelnikowi. Ale jeśli je wyławia („*W tym miejscu dla wszystkich mam morał gotowy: Do konia dojść można od zwykłej podkowy*"), czyni to w ten sposób, że nawet jasno sformułowany wniosek zawiera w sobie podtekst, który zmusza młodego czytelnika do ponownego przemyślenia całej historii. Dowodzi to, że bajkami mogą się „zabawić" nie tylko dzieci. Zwłaszcza tymi, o których można napisać, że zawierają „pełną adekwatność treści z poziomem satyrycznym".

LEOPOLD BECK

Łódzka „Cnotliwa Zuzanna"

Po niepowodzeniach kasowych ostatnich dwóch pozycji operetka łódzka sięgnęła do tytułu, który pod względem frekwencji od pięćdziesięciu lat nie zawiódł. W tym najwyższa cnota „Cnotliwej Zuzanny".

No, tylko bez złośliwości. Przecież i liberetto ma swoje zalety i Gilbert — jako kompozytor szlagierowej muzyczki. Co do fabuły i tekstu trzeba powiedzieć, że były ongiś (1909) napisane z ambicją satyryczną, czyli że autorzy zdawali sobie sprawę z tego, co było — i jest — życiodajnym źródłem operetkowego rodzaju teatru. Owszem, ale jaka to satyra i w co bije? Findesieclowa, a skierowana jest przeciwko obłudzie wielkomieszczańskiej. Ba, wielki problem jak na Łódź i nasze czasy!

Adaptator i tłumacz Eugeniusz Żytomirski postarał się jednak o wesoły findesieclowy dokumencik, dający reżyserowi Danucie Dostalik — Baduszkowej możliwość scenicznego ożywienia dziś już tępej satyry oryginału. Takiej tendencji odpowiada również muzyczka Gilberta, w swoim czasie przebojowa a dziś jeszcze przyjemna, wykonana pod kierownictwem Bohdana Wodiczki z precyzją i — naprzykład w zakończeniu drugiego aktu — z niesłychanym temperamentem przy nie zmniejszonej dyscyplinie.

Krystyna Nyc-Wronko
Fot. G. Puciato

Nawet pieśń o winie (soliści i chór w 14 scenie II aktu), odbiegająca — jako wielce nastrojowa — w swoim rysunku muzycznym od pozostałych piosenek, nie wytwarza „leharowskiej" scenerii duchowej... Reżyser trzyma przedstawienie w ryzach.

Do sukcesu spektaklu przyczynił się tym razem w decydującym stopniu Feliks Parnell. Jego choreograficzna kompozycja finału II — to dla kogoś, kto ma możność spojrzenia za kulisy, wzór dobrej roboty przy operowaniu „masami" — tym bardziej, że nie ma żadnej wolności ruchu na — z konieczności — przeładowanej scenerii Moulin Rouge. Należy również podkreślić, iż ten szczyt przedstawienia nie jest bynajmniej tylko pokazówką baletu, lecz całego ensemblu, przy nienagannym współdziałaniu choreograficznym solistów, chóru i baletu. Powstaje arcyemocjonujący finał, huragan taneczny... ale zawsze opanowany przez batutę Wodiczki. Do tego chwalebnego efektu przyczynił się projektami kostiumów scenograf spektaklu, Jerzy Kondracki.

Aktorzy? Przepraszam... aktorki? Tak zwana „bombowa" rola kobieca czyli pani Pomerel — tytularna cnota a de fackto kokota, demimonde, czy jak jej tam po francusku będzie — ma dwie wykonawczynie na zmianę: Irenę Brodzińską (wymieniamy w porządku alfabetycznym) oraz Krystynę Nyc-Wronko. Jedna jest lepszą śpiewaczką, druga lepszą tancerką, jedna przekonuje bardziej mężczyzn, druga kobiety (takie bywają różnice w odbiorze operetek), jedna osiąga wielki kunszt w tej, druga w innej scenie. Trzeba obie zobaczyć. Ja wolę tę... ale boję się powiedzieć którą...

Wielką zabawę natomiast prowadzi Jerzy Sidorowicz, rogacz — o dwóch duszach, jednej cywilnej i jednej oficerskiej, i w zależności od tego, czy jest w cywilu czy też w mundurze oficera (rezerwy) zmienia gest, intonację i pozostały sposób bycia scenicznego.

Janusz Duński i Edmund Wayda dublują się nawzajem w roli barona d'Aubrais. Wiemy przecież, że tenorów operetkowych rzędu Waydy można w Polsce na palcach policzyć. Ale rola barona jest raczej mówiona, niż śpiewana — toteż Wayda opiera się na swojej wielkiej rutynie aktorskiej, Janusz Duński zaś na żywiole, to znaczy jakimś swoim własnym wyczuciu dostojeństwa i komizmu d'Aubrais, barona, członka Akademii i zakonspirowanego hulaki.

Najbardziej findesieclowi, w założeniu i faktycznie, są Karol Koszela i Czesław Pręgowski. Do wielu imion Koszeli doszło jeszcze jedno: Aleksy — starszy i bardzo komiczny kelner w Moulin Rouge.

Edward Kamiński przekonałby mnie o tym, że rola Huberta została specjalnie dla niego napisana, gdybym nie wiedział, iż prapremiera „Cnotliwej Zuzanny", odbyła się dokładnie... pięćdziesiąt lat temu w Magdeburgu.

Od tego czasu nie zeszła z afisza operetki światowej i ciągle jest jednym z bestsellerów teatru operetkowego.

O

„Cnotliwa Zuzanna". Muzyka: Jean Gilbert. Libretto: Georg Okonowski. Przekład i adaptacja: E. Żytomirski. Reżyseria: Danuta Dostalik-Baduszkowa. Kierownictwo muzyczne: Bohdan Wodiczko. Choreografia: Feliks Parnell. Scenografia: Jerzy Kondracki.

Po drugiej stronie wzgórza
dynek Liceum im. St. Żeromskiego, wystawiony w pierwszej połowie XVIII wieku. W ścianie zewnętrznej znajduje się tablica
ongi uczni

Kompromitacja plutonowego Kwiatka

Jest rok 1938. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczało wiele znakomitości, m. in. Stefan Żeromski i ówczesny premier Sławoj Składkowski.

Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum podzielili się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców. Arystokraci i demokraci walczą przy pomocy krzyku („bić chamów!", „bić szlachtę!") na intelekt (dowodzenie naukowe, z którego wynikało, że albo jedni, albo drudzy stanowią zakałę ojczyzny i powinni zniknąć) walczą wreszcie przy użyciu broni ciężkiej (krzesła, kosze na śmieci, kreda i inne sprzęty szkolnego użytku, jak kałamarze, pomoce naukowe itp.). A sportowcy wynajmują się na przemian to tym to tamtym.

Dwóch wybitnych arystokratów — Książę i Buczacki odbyło krwawy pojedynek na szable o kobietę, w wyniku którego Buczacki został publicznie ośmieszony. Buczacki poprzysiągł zemstę całej klasie.

Za namową Buczackiego plutonowy Kwiatek, który również pała nienawiścią do młodzieży, aresztuje głównych bohaterów groteskowego otwarcia... szaletu. „Tak efektownej akcji nie notowały od lat kroniki policyjne..."

Długi, obszerny pokój w komisariacie policji państwowej przedzielała drewniana bariera. Mniejszą część izby przyjęć zajmowali urzędnicy, większą, przeznaczoną dla zaproszonych gości, wypełnili kosynierzy, poeta, dziennikarz, Dionizy Czachowski i inni znakomici aktorzy teatru szkolnego. W kącie stłoczyła się ciasno gromadka popłakujących chłopców z klas najmłodszych, zagarnięta raczej z gorliwości niż realnej potrzeby. Ze słów, jakie rzucił pod adresem Miazgi potężny pan Kwiatek, zrozumieli przynajmniej tyle, że czeka ich solidne lanie, jeżeli nie tu, na miejscu, to już na pewno w domu.

Dyżurny podoficer wypisywał wolno, systematycznie personalia aresztowanych. Zużyte pióro skrzypiało nieprzyjemnie, każdy zakrętas wywoływał zimne dreszcze. Czas wlókł się powoli, jakby od niechcenia, na parapetach dzwonił deszcz, dzień już szarzał za oknem, przedzielonym od świata kratą. A niechby już stało się coś, nawet coś najgorszego, byle nie ta nuda. Drewniany głos kancelisty, znudzony, senny, wytarty, jak stara płyta gramofonowa potęgował tylko rozdrażnienie — imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia, imię i nazwisko, data i miejsce urodzenia, imię i nazwisko... przerażająca wiedza o człowieku.

W sąsiednim pokoju kończył plutonowy Kwiatek największe dzieło swojego życia — obszerny protokół zajścia. Każde słowo, celne, zjadliwe, udokumentowane, dyszało zemstą, za ów pamiętny wieczór, za łysą czaszkę w świetle księżyca, za pogardliwe uśmiechy dziewcząt, za wygnanie, ze skrzyżowania głównych ulic. Każde słowo protokółu jaśniało nadzieją na awans i kilkadziesiąt złotych podwyżki.

Młodsze roczniki odprawił wreszcie sierżant dyżurny spokojnie, po ojcowsku.

— Jeszcze jedna taka heca, dupki żółędne, a skończycie u ojczulków Salezjanów przy warsztatach. Już was tu nie ma, gówniarze!

Zmiatali do domów w sto koni. Dom poprawczy ojców Salezjanów, z pewnością na skutek rygorów i solidarności, nie cieszył się pośród młodzieży najlepszą sławą.

Do izby przyjęć wróciła nuda. Imię i nazwisko, data i miejsce urodzenia... Nagle, niemalże równocześnie otworzyło się dwoje drzwi. W jednych stanął uśmiechnięty Lutowiecki, a w drugich zatrzymał się plutonowy Kwiatek z protokółem w ręce.

— Wariat — szepnął Miazga do Księcia — po co się tu pcha jak go nie przyskrzynili!

Kwiatek, wyraźnie ucieszony widokiem Lutowieckiego wsparł ręce na biodrach, twarz aktora filmowego zeszpecił złośliwy uśmiech.

— Ach to pan? Proszę do środka, bardzo proszę... pan się zaraz przekona, czy ja jestem gramotny. Nie takich niedowiarków przekonywałem.

— Ja jako komendant szkoły... zaczął Lutowiecki.

— Co ja słyszę? — przerwał mu plutonowy — mamy tu i komendanta. No, no, no, kto by pomyślał, że taki gość raczy do nas. Feliksiak, ściągnijcie dane z pana komendanta.

Lutowiecki wcale nie wyglądał na wystraszonego.

Podszedł spokojnie do bariery za którą garbił się Feliksiak. Nie zdążył nawet podać swojego imienia i nazwiska. W izbie przyjęć pojawił się sam komisarz, pan major Krawczyński.

— Proszę wprowadzić zatrzymanych — rozkazał

Kilkunastu chłopców, odcedzonych z masy gimnazjalistów, popychanych dosyć energicznie przez dyżurnego sierżanta, stłoczyło się przy drzwiach obszernego gabinetu. Major sprawiał wrażenie człowieka dobrego, ale bardzo zmęczonego. Zapadł w głęboki fotel, westchnął ciężko i ukrył twarz w dłoniach. Z przeciwległej ściany spoglądał uważnie na zatrzymanych generał Kordian Zamorski, dowódca całej policji w kraju. Duży, przejrzysty portret, podkreślał wszystkowidzące oczy naczelnego stróża państwa. Nie można było w żaden sposób uniknąć jego wzroku. Patrzyli więc na piękny nos, czarną, krótko przystrzyżoną bródkę, na pierś pokrytą orderami. Prawdziwy ojciec spokojnych obywateli.

Major podniósł głowę, dostrzegł nagle, że jego twarz była smutna, przeraźliwie smutna.

— I co ja mam z wami zrobić?

Pytanie zabrzmiało dramatycznie. Nikt nie odpowiedział. Większość zatrzymanych sądziła, że major pokrzyczy trochę, nawymyśla, może i trochę postraszy, zakaże podobnych kawałów na przyszłość i kropka, po krzyku, koniec hecy. Tylko po co takie przedstawienie — imię i nazwisko, data i miejsce urodzenia? Major posmutniał jeszcze bardziej, mała chwila a wybuchnie płaczem. Co się dzieje? Przez zakratowane okno napływały niedobre przeczucia.

— Sam jestem ojcem — odezwał się komisarz — mam córkę w waszym wieku.

— Blondynka, panie majorze? — zapytał Książę Paryża i okolic.

— Brunetka, chłopie, czysta brunetka — westchnął major — przeczytam wam protokół zajścia.

Nad biurkiem błysnęła lampa, jasna smuga światła wyłuskała komisarza w mroku i oddzieliła od aresztowanych. Gabinet przemieniał się powoli w ciemną celę więzienną.

— „Dnia 5 października, o godzinie czternastej zero pięć grupa uczniów tutejszego gimnazjum, licząca około dwustu osób, pod przewodnictwem niejakiego Miazgi, znanego także jako członka „Wici", zorganizowała nielegalny wiec, na którym dopuściła się obrazy władz miejskich i państwowych, a w szczególności pana premiera Rzeczpospolitej, za pomocą przemówień i śmiechu oraz nielegalnego otwarcia ubikacji ogólnej. Wiec miał charakter zorganizowany i był przygotowany wcześniej z dużą starannością, na co są następujące dane: a) przemawiano bez kartek b) okrzyki były przygotowane z góry jak u komunistów c) obrażano państwo jak u endeków d) wśród zebranych ludzi stwierdzono obecność

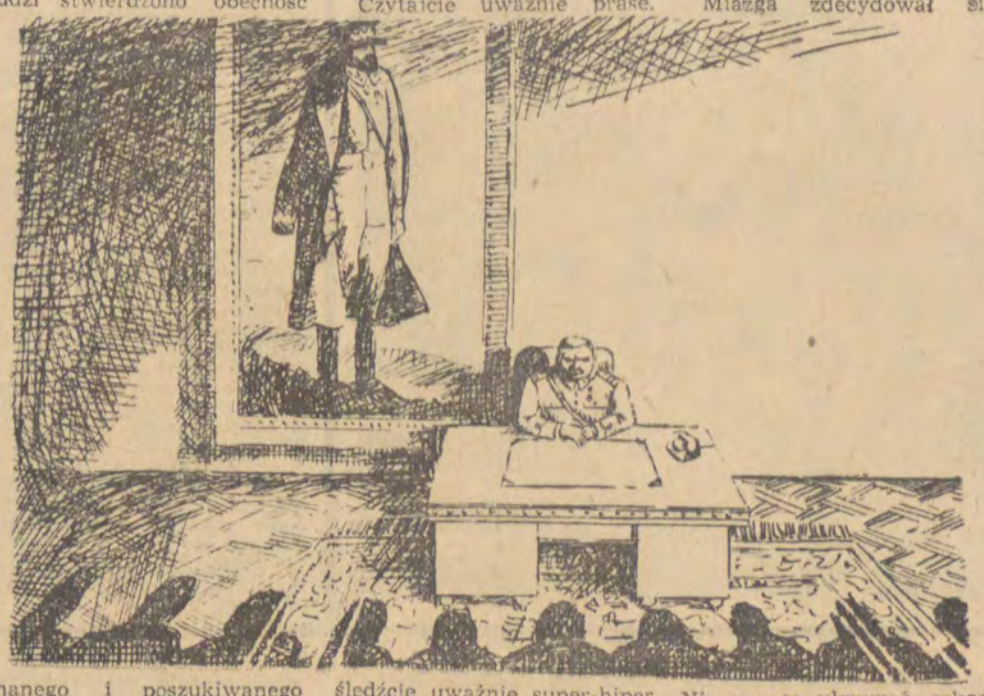

znanego i poszukiwanego przez tutejsze organa komunisty Kopecia, vel Mazura, vel Muszyńskiego, którego jednakowoż nie udało się pochwycić i doprowadzić celem konfrontacji. Organizatorów wiecu ujęto zaskoczeniem, co się zawdzięcza postawie funkcjonariuszy służby policyjnej".

Major czytał niechętnie, z wysiłkiem, każde słowo sprawiało mu ból, przeciwstawiało się widocznie jego niezwykłej dobroci. Podniósł głowę, czyżby miał łzy w oczach?

— To jest poważna sprawa, bardzo poważna. Pomyślcie, co powiedzą wasi rodzice? Co powie wasz dyrektor i panowie wychowawcy? Czy tego się spodziewali po tylu trudach? Pomyślcie jaka to hańba dla waszego gimnazjum, dla najstarszej budy w mieście, opiewanej przez Żeromskiego i Dygasińskiego. Co pomyśli sobie pan premier, wasz starszy kolega? Cóż, moi kochani... wylecicie z budy, na to nie ma rady... może zresztą większość nie wyleci, to już od was zależy...

Organizatorzy efektownej i pełnej rozmachu uroczystości potracili głowy. Przywdziewali już szare, na poły więzienne mundurki wychowanków domu poprawczego i ostrzyżeni „na pałę" stoją przed komisarzem, który jest najlepszym człowiekiem na świecie. Wylecieli z budy prosto na śmietnik.

Książę zerknął z nienawiścią w stronę Miazgi. To ten idiota, ten kretyn, ludowiec zafajdany tak nas urządził — pomyślał ze złością, ale będzie heca, ale będzie zabawa, do historii przejdziemy, sławę, wzięcie, obiecywał, układał plan całej imprezy i... rzeczywiście lepszej hecy nie potrzeba. Miazga powinien iść do poprawczaka. A Książę?

Czy poznajecie tę metropolię? Paryż, Londyn, czy Nowy Jork? Przed słynną operą sznur eleganckich samochodów, w operze wielki świat. Któż to taki ukrywa się dyskretnie w loży dyplomatycznej? To polski szlachcic, proszę państwa, ambasador. Delikatny wąs władcze spojrzenie. Obok cała w bieli, córka wybitnego dyplomaty, pół greczynka, piękna jak Hayde. Dyplomata ma na sobie obcisły frak, trzy rzędy maleńkich orderów w klapie, a każdy z nich, przeważnie zagraniczny, oznacza kolejny sukces utalentowanego dyplomaty, który, o czym wiedzą w każdej poważniejszej stolicy świata, pisuje piękne, męskie wiersze. Pisze, nie pisze, skończona pieśń, dyplomata powędruje do Chyrowa, a córka nigdy się nie urodzi. Pan Miazga go tak urządził, warto by o tym powiedzieć panu majorowi, szkoda tylu utalentowanych kolegów.

Nagłe a niespodziewane wydarzenie, grożące czymś w rodzaju śmierci zawsze usposabia do swoistego obrachunku. Wstecz lub wprzód. Racibor nie miał do nikogo żalu, może tylko do majora, mógłby mieć córkę blondynkę. Oczywiście, szkoda świetlanej przyszłości.

Czytajcie uważnie prasę, śledźcie uważnie super-hiper sensację w skali światowej! Najbogatsza jedynaczka świata, urodzona Janetta z domu Morgan, albo lepiej Ford, ściga po lądach i oceanach marzenie swojego życia, latającego Holendra, Racibora de Tramencourt, polskiego arystokratę francuskiego pochodzenia. Janetta dopada go w Bombaju... Nie, jeszcze za wcześnie. I tym razem marzenie jej życia ucieka, ale już w egzotycznym Singapoorze osiąga Janetta swój upragniony cel. Znajduje ukochanego w portowej spelunce, gdzie oddawał się pijaństwu i rozpuście z miejscowymi córami Koryntu. Lecz Janetta kocha Racibora de Tramencourt takim jaki jest. Zaczynają nowe życie w luksusowym jachcie na wyspach Tahiti albo w Miami na Florydzie. Na Florydzie? Śmieszne rzeczy. Prędzej w terminie u ślusarza, dokąd go ojciec odeśle jak amen w pacierzu. Dobre i to, zawsze coś nowego.

Nie będzie Judymem Socjalista, biedni ludzie pozostaną bez opieki. Nie będzie Justyn polskim oficerem, a Dzik kierownikiem szkoły w swojej rodzinnej wsi i tkliwym poetą. Do stolarni ojców Salezjanów panowie, do chlewni świnki oprzątać, krówki doić w oborze, grządki plewić, kotły w kuchni czyścić, drzewo rąbać i modlić się, modlić przy każdej okazji za ciężkie grzechy!

— Musimy was odtąd mieć na oku — ciągnął major wciąż na tej samej, smutnej nucie — o normalnej szkole, maturze nie ma co mówić, to zresztą rozstrzygnie sąd dla nieletnich przed którym staniecie. Ale to jeszcze drobiazg, jesteście młodzi, przyzwyczaicie się jakoś. Ale jak ja to wytłumaczę waszym rodzicom? To przecież porządni ludzie! Jak ja to im wytłumaczę? Powiedzcie mi — jak? Jak ja im powiem, że przekreśliliście ich najlepsze nadzieje?

Komisarz zakrył twarz rękami. Justyn ocierał łzy. Biedny pan major, rzeczywiście, jak on to wszystko wytłumaczy. Przeczucie nie myliło go, przecież miał to przeczucie, że wszystko źle się skończy.

Gromadka winowajców tajała jak śnieg na wiosnę. Wszyscy napełnili się błyskawicznie skruchą, wszyscy klęczeli przed majorem, ale daremnie błagają o przebaczenie, nikt z nich nie zostanie świętym Augustynem albowiem nie ma dla nich grzechów odpuszczenia.

— Ja rozumiem — głos komisarza zabrzmiał ciepło — ja wiem, jesteście przyjaciółmi na śmierć i życie, to nawet zrozumiałe, ale może właśnie w imię tej przyjaźni, dla ratowania większości... jeden czy dwóch, najbardziej odpowiedzialnych, przecież zawsze ktoś jest ten pierwszy.... ach, co ja mówię, to nie ma sensu.

Miazga zdecydował się. Nie ma co ukrywać, szkoda kolegów. W końcu to przecież on i może jeszcze Socjalista... nie, tylko on był organizatorem całej imprezy. Tamci myśleli o zabawie, on jeden chciał uzyskać głębsze cele polityczne. A teraz trzeba się przyznać, przyjaciele nie wydadzą nikogo. Spojrzał na Księcia. Przyjaźń jest silniejsza niż różnice poglądów. Książę odwrócił głowę. Nie można tylu ludzi skazywać na wilczy bilet — myślał — trzeba dla dobra większości powiedzieć prawdę o Miazdze.

Obaj serdeczni przyjaciele wystąpiliby zapewne równocześnie gdyby nie Lutowiecki.

— To są brednie panie majorze, banialuki niedorozwiniętego plutonowego a nie protokół zajścia! — powiedział najspokojniej w świecie.

Komisarz, trochę zdziwiony wpadł w fotel, zachował jednak ten sam smutny i zatroskany wyraz twarzy.

— Co takiego powiedziałeś, staruchu? Bądź łaskaw powtórzyć.

— Banialuki niedorozwiniętego plutonowego powiedziałem, a nie protokół zajścia, czy powtórzyć jeszcze raz?

— Ach, nie, wystarczy. Mój Boże, jacy wy jesteście młodzi, cudownie młodzi! Zapaleni, skorzy do poświęceń, do niepotrzebnych wystąpień, jak teraz twoje, mój stary... tak tak... skorzy do poświęceń i lekkomyślności. Wiecie, co ja wam powiem?

Socjalista zdecydował się. Ostatecznie, tylko on jeden działał w sposób świadomy. Nawet Miazga nie mógł mieć polityki na względzie. Ludowcy nie działali nigdy takimi metodami. Niech pan premier nie zamyka Polski w szalecie! To miała powiedzieć cała uroczystość. Wpadli, trudno, nie pierwszyzna u socjalistów. Ale uczciwość nakazuje odciąć kolegów od całej akcji. Oni są niewinni i szlachetni, nikogo nie wydadzą.

Zdecydował się i Mazagrin. Heca, heca, ale bez epilogu w domu poprawczym. To dobre dla pana Miazgi, dla pana — Socjalisto dobre dla wszystkich panów demokratów, którzy pod płaszczykiem zabawy urządzają polityczną manifestację. Dlaczego on ma na tym cierpieć?

Powiem wam — majorowi zebrało się na wspomnienia — że przypominacie mi moją młodość, to są zawsze najlepsze lata. Wiara w socjalizm, który jest jak odra manowce internacjonalizmu, czcze gadanie o ludzie bez niepodległości... potem rok 1905, rok przełomu i otrzeźwienia... robota frakcyjna Sybir, ten stary szlak Polaków, ucieczka, moi staruszkowie... czyn legionowy, prorocze słowa Komendanta, przed socjalizmem jest zawsze niepodległy byt narodu... tego właśnie niepodległego bytu strzeże i plutonowy Kwiatek który się tobie tak nie podoba — uderzył Lutowieckiego w ramię.

— Kiedy Kwiatek jest naprawdę, panie majorze... no naprawdę klasycznym okazem kretyna do sześcianu i entej potęgi.

Tym razem komisarz wypadł z tonu.

— A ty? Kto ty jesteś właściwie? Skąd ty tak dobrze znasz moich wywiadowców? Plutonowy jest znakomitym żołnierzem, najlepszy dowód, że ciebie przyskrzynił, mój staruchu!

Lutowiecki, zupełnie niespeszony ostrym tonem majora wyciągnął niespodziewanie rękę do Chorwata.

— Dajno co zapalić.

Chorwat wyciągnął papierośnice jak zahypnotyzowany. Co ten wariat wyrabia?

— Przykro mi panie majorze, ale nie mogę zmienić zdania o plutonowym Kwiatku. Ten bałwan stanowczo urwał się z Tworek.

Major poderwał się energicznie i podszedł do biurka.

— Nazwisko!

— Lutowiecki, panie majorze.

— Lutowiecki? Lutowiecki... — komisarz drgnął — wiesz co? Ja też w gruncie rzeczy myślę, że Kwiatek to nietęgi wywiadowca. Trzeba będzie mu to powiedzieć. Ale to już może ja, dobrze?

(Dokończenie na str. 11)

ZAPROPONOWAĆ NIE WOLNO!?

SZYBKO KUPIĆ!

W połowie czerwca wystąpi w Łodzi wraz z murzyńskim kwintetem wokalnym, śpiewaczka z Haiti — Mitsou Fontaine, którą czytelnicy mogą obejrzeć na załączonym zdjęciu.

Bóg raczy wiedzieć, jak dziewczyna śpiewa (mówią, że dobrze, ale kiedy organizatorzy jakiejś imprezy mówili, że źle?!), ale jest tak śliczna, że szczerze radzimy szybko ją „kupić" do łódzkiej telewizji na drobny występik.

Telewidzowie będą mieli uciechę, przyjemnie jest bowiem popatrzeć na coś ładnego.

Po międzynarodowym kongresie szkół filmowych i telewizyjnych

Jesteśmy świadkami znamiennej ewolucji srebrnego ekranu. Z jednej strony rozrasta się on do rozmiarów cineramy i circaramy, wprowadza się w USA filmy zapachowe o pełnej gamie barw i kolorów z dźwiękiem stereofonicznym, stwarzając tym samym w kinie coś w rodzaju olbrzymiego widowiska z tysiącami statystów, koni, z teatrem dziewnym itp. Z drugiej strony obraz zmniejsza się do rozmiarów małego ekranu telewizyjnego, na wzór do rozmiarów kameralnego widowiska, które ma swoje prawa, rządzi się nimi, i rzecz prosta, wymaga od twórców tego obrazu przestrzegania prawideł kameralności. Na ten ciekawy problem stający przed szkołami filmowymi i telewizyjnymi wszystkich krajów zwrócił uwagę rektor PWSFiT w Łodzi prof. dr Jerzy Toeplitz zagajając obrady III Międzynarodowego Kongresu Szkół Filmowych i Telewizyjnych, który w ubiegły czwartek rozpoczął w Łodzi swe obrady.

Ewolucja obrazu, coraz to nowe odkrycia i rewelacje w tej dziedzinie wymagają, rzecz prosta, stałego pogotowia i stałego przystrajania się szkolnictwa filmowego do aktualnych potrzeb kinematografii tradycyjnej i telewizyjnej. Coraz rozleglejszy i coraz to inny jest teren działania operatora, reżysera, słowem każdego realizatora filmu przeznaczonego bądź dla kina, bądź dla TV. Jakie są najwłaściwsze metody szkolenia przyszłych kadr? Oto było pytanie, które stanęło przed kongresem. Nie znajdzie się na nie uniwersalnej recepty od razu. Ale wymiana myśli i doświadczeń między uczestnikami kongresu, myśli i zdań na tematy ściśle fachowe, przyniesie z pewnością dobre rezultaty. Jak wiadomo w kongresie uczestniczyli m. innymi przedstawiciele szkół włoskich, amerykańskich, francuskich, radzieckich, a więc czterech mających najwięcej do powiedzenia w tej mierze. Nie zapominajmy jednak i o szkole polskiej, która przecież może poszczycić się niemałymi osiągnięciami w dziedzinie kształcenia operatorów.

W jaki sposób kongres, jego rezultaty dotyczą nas, szarych telewidzów? Dotyczą i to poważnie.

Nigdy bowiem nic co może mieć jakiś wpływ na poprawę programu telewizyjnego nie powinno być nam obce. No i na pewno nie jest! A więc traktując rzecz od strony praktycznej; (choć kongres był zjazdem naukowców), spodziewać się należy, że już w najbliższych latach, szkołę łódzką opuści kadra wszechstronnie wykształconych operatorów realizujących filmy dla milionów widzów kina i TV. Ważne jest to, by były to filmy i piękne od strony obrazu, i zrozumiałe i mądre, słowem dobre. Bo takich filmów realizowanych szczególnie na zamówienie telewizji wciąż mamy za mało. Prawda?

J. W.

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

W tym tygodniu niewiele mamy audycji godnych polecenia naszym telewidzom. Być może wkraczamy już w etap programu letniego, jak zwykle bardziej oszczędnego ze względu na urlopy telewizyjnych załóg.

DZIŚ W CZWARTEK O GODZINIE 18.45 audycja z cyklu „Twórcy muzycznego 15-lecia". Kolejny program zajmuje się muzyką w filmie. O godzinie 19.10 Łódzka Kronika Filmowa. Reportaż telewizyjny pt. „Inicjatywy" nada Warszawa o 20.30. No i o godzinie 21.05 Teatr Sensacji „Kobra" prezentuje widowisko sensacyjne Mariana Kozłowskiego pt. „Śmierć w Dolinie Wiatrów".

PIĄTEK 3 CZERWCA: O godz. 18.25 audycja z cyklu „Historie z tej ziemi" — XI program pt. „Postęp w przyrodzie". O godz. 19.30 z Katowic obrazy dramatyczne Bertolda Brechta „Życie Galileusza"

SOBOTA 4 CZERWCA: o godzinie 17.40 Warszawa nada dla dzieci film prod. radzieckiej pt. „Andrejka". Polecamy również obejrzenie magazynu kulturalnego „Pegaz" w wydaniu katowickim. No i clou programu telewizyjnego tego tygodnia program rozrywkowy z Berlina „Od melodii do melodii". Gdyby jednak łącza nawaliły obejrzymy sobie film fabularny. Tytułu niestety nie znamy.

Norman Marshall o aktorstwie telewizyjnym

Majowy numer „Dialogu" przynosi w dziale not interesującą wypowiedź angielskiego reżysera starszego pokolenia Normana Marshalla, tyczącą w znacznej mierze spraw aktorstwa telewizyjnego. Marshall jest może nieco niesprawiedliwy, a nawet stronniczy, niemniej wydaje się nam, że niektóre z jego uwag powinny zainteresować czytelników.

„Im dłużej siedzi się w telewizji — mówi Marshall — *tym dalej odchodzi od żywej publiczności. Dobry reżyser teatralny potrafi wyczuć nastrój panujący na sali na podstawie najdrobniejszej reakcji widowni, słyszy pokasływanie, uczy się, że w tym miejscu należy przyśpieszyć tempo, w innym wprowadzić skróty. Publiczność teatralna reaguje w sposób jawny. W telewizji zaś reżyser, czy aktor przestaje panować nad własnym rzemiosłem, bo zabrakło mu kontaktu z widownią. Sztuki wywoływania śmiechu można nauczyć się tylko od widowni. Ostatnio, gdy zaczęto coraz częściej nagrywać poszczególne audycje na tele-recording, aktor mógł już się zobaczyć na ekranie telewizora; cóż kiedy siedzi przed telewizorem wraz z trzema czy czterema innymi ludźmi. Przekonałem się, że aktorzy występujący głównie w telewizji przestają się rozwijać, tracą cechy indywidualne, gubią dawną precyzję".*

I dalej: *„Niejeden zadowala się mechaniczną, czysto zewnętrzną interpretacją. Prosty przykład: aktorowi każą usiąść, choć czuje, że w tej chwili właśnie powinien stać; godzi się jednak na to bez szemrania. „W porządku. Czeka mnie przecież tylko jedno przedstawienie". A w teatrze, kiedy wie, że przyjdzie mu siedzieć w tej scenie przez okrągły rok... Inaczej też czują się aktorzy po spektaklu w telewizji, inaczej w teatrze. W teatrze aktor słyszy i widzi reakcję publiczności, wie, jakie wywołał wrażenie. W telewizji gra w próżni, wobec nieznanego widza, bez możliwości „sprawdzenia" efektów wysiłku artystycznego. Reżyser nie ma ochoty ani potrzeby analizowania całego przedstawienia, którego nikt już nie będzie powtarzał. (...) Aktor gubi się, bo nikt nie zwraca mu uwagi".*

* * *

W zestawieniu z wyraźnie niechętną telewizji wypowiedzią Marshalla, interesująco brzmi głos znanego radzieckiego reżysera filmowego Michaiła Romma, zresztą już w samej prasie radzieckiej określany, jako wybitnie dyskusyjny.

Romm uważa, że podstawową formą upowszechniania kultury w społeczeństwie komunistycznym będzie właśnie telewizja, a podstawowym gatunkiem — film, przeznaczony do wykorzystania telewizyjnego.

Najlepsi aktorzy i reżyserzy przejdą — zdaniem Romma — do filmu, teatr zaś pozostanie li tylko zapleczem inspirującym. Będzie to przede wszystkim teatr amatorski...

Tajemnice profesora

Prof. dr Zdzisław Rajewski jest dyrektorem Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie i kierownikiem badań archeologicznych prowadzonych na polu bitwy grunwaldzkiej. Ponieważ zbliża się 550 rocznica bitwy pod Grunwaldem przedstawiciel „Odgłosów" zwrócił się do prof. Rajewskiego z prośbą o kilka informacji na temat prowadzonych prac.

Profesor jednak zdecydowanie odmówił nie wysłuchując nawet do końca prośby naszego wysłannika.

No cóż, profesor też człowiek, wolno mu wstać z łóżka lewą nogą i wolno mu również mieć swoje tajemnice.

Mamy jednak wątpliwości czy Pan Profesor tym razem nie przesadził. Wyniki badań archeologicznych prowadzonych przez prof. Rajewskiego nie są na pewno niczyją prywatną własnością. Trudno, ale to fakt. Jak również faktem jest, że Pan Profesor kieruje państwową placówką i badania przeprowadza za państwowe pieniądze. A to niestety zobowiązuje.

Bestsellery miesiąca

Jak dowiadujemy się w księgarni PEGAZ najpopularniejszą książką maja była interesująca praca Teofila Sygi i Stanisława Szenica pt. „Maria Szymanowska i jej czasy". Książka jest uroczą opowieścią o polskiej pianistce i zawiera mnóstwo ciekawego materiału anegdotycznego i obyczajowego. Dlatego nie dziwi nas, że w samym tylko PEGAZIE sprzedano już ponad 100 egz. tej dość drogiej (50 zł) pozycji. Wydawca jest Państwowy Instytut Wydawniczy, nakład raczej niewielki, bo zaledwie 7 000 egzemplarzy.

Dużą popularnością cieszyła się również książka Alfreda Ligockiego pt. „Cezanne". Tematem jej są jak resztą mówi podtytuł „Źródła rewolucji w plastyce". Publikacja naprawdę ciekawa i chociaż bezbarwne (niestety) reprodukcje Cezanna nie przydają książce wdzięku, a cena (60 zł) nie jest zbyt dostępna, w samym PEGAZIE sprzedano jej ponad 50 egzemplarzy.

Goście w Łodzi

W ubiegłym tygodniu mieliśmy w naszym mieście mały najazd gości zagranicznych. A więc z łódzkimi filmowcami spotkał się Grzegorz Aleksandrow — radziecki reżyser filmowy, twórca znanych filmów „Cyrk", „Świat się śmieje", „Wołga, Wołga".

W Łodzi gościł również prof. Sorbony dr Rene Etiemble — kierownik katedry literatury porównawczej, który wygłosił na UŁ kilka odczytów. Poza tym w związku z uroczystościami XV-lecia Uniwersytetu Łódzkiego bawili w naszym mieście z jednodniową wizytą wiceminister szkolnictwa wyższego Eugenia Krassowska i znany językoznawca prof. dr Witold Doroszewski.

Warto obejrzeć

Warto obejrzeć b. ciekawą wystawę zorganizowaną w Państwowej Wyższej Szkole Teatru i Filmu na Targowej z okazji odbytego niedawno Kongresu Szkół Filmowych i Telewizyjnych.

Wystawa obrazuje historię i osiągnięcia szkoły, a jest to jak wiadomo temat b. wdzięczny. Wystarczy bowiem wspomnieć że laureatami nagród międzynarodowych jest aż 16 absolwentów P.W.S.F.iT.

Dla mieszkańców Łodzi wystawa otwarta będzie do dnia 15 czerwca.

Dom aktora?

Kosztem iluś tam tysięcy złotych wybudowano w swoim czasie w łódzkich parkach muszle koncertowe. Malkontenci narzekali że to wydatek niepotrzebny, skoro nie staje pieniędzy na godziwe owych muszli wykorzystanie.

Otóż okazuje się, że takie obiekty są jednak potrzebne. Jak się bowiem dowiedzieliśmy w zapleczu muszli w julianowskim parku mieszka para młodych aktorów. Ponieważ znane są trudności kwaterunkowe w naszym mieście nie pozostaje nam nic innego jak prosić Wydział Kultury o więcej podobnych inwestycji. Przynajmniej młodzi aktorzy będą mieli gdzie mieszkać.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 Z. 1677. V. 1960 r. R-5

ZYGMUNT FIJAS

FRONTALNE UDERZENIE

Wiosenny wiatr trzepoce listkami winogradu ocieniającego okna świetlicy zespołu dramatycznego „Melpomena". W jednej z sal świetlicy przy stole o pałąkowatych nogach siedzą członkowie zespołu i przygotowują się do egzaminu z wymowy.

Obok w pokoiku kierownika świetlicy korespondent fabrycznej świetlicy Trzusło czyta swój najnowszy artykuł przewodniczącemu zespołu, Pierzchale. „Byłem raz na meczu bokserskim z udziałem Szymury", czyta nieśmiało Trzusło. „W pewnej chwili, gdy Szymura począł obrabiać swemu przeciwnikowi żołądek, zapanowała taka dramatyczna cisza, że nawet syreny strażackiej nie było słychać. Potem gdy Szymura zaczął kontrować, ogarnęło publiczność takie podniecenie, że nie uśmierzyłbyś go nawet przy pomocy sikawek... Już na trzy dni przed meczem wszystkie bilety były wysprzedane... Na mecz nie tylko nikt się nie spóźnił, ale na trzy godziny przed nim kilkakrotnie musiała interweniować milicja.

Byłem raz na sztuce Szekspira „Wieczór Trzech Króli" — z Sempolińskim, Walterem i innymi... Też wszystkie bilety były wysprzedane... Ale dzięki wstawiennictwu organizatora widowni udało się zdobyć bilety na balkon.

Pamiętne to było przedstawienie, a bodajże to!

Ledwo tylko światła pogasły i kurtyna podniosła się woźna zaczęła wpuszczać na balkon spóźnialskich, co trwało dziesięć minut, potem spóźnialscy jęli szukać swych miejsc pod osłoną ciemności, co trwało kwadrans.

Ponieważ na balkonach naszych teatrów nie tylko krzesła skrzypią, ale to samo czynią deski podłóg, więc po pewnym czasie powstał taki harmider, że aktorzy zaniemówili...

Upłynęło dobre kilka minut, wreszcie ktoś na parterze zawołał: — Hej, hołoto na tym balkonie, ciszej tam!

Sąsiad mój poświecił latarką po podłodze i szepnął po pewnym czasie: — „Od hołoty im wymyślają, a to niestety są nasi — robotnicy".

Po chwili jednak zmienił zdanie.

Gdy spóźnialscy poczęli się częstować cukierkami, poowijanymi w szeleszczące papierki, a potem zaczęli kichać, bekać, ssać, cmokać, gnieść orzechy..."

Pierzchała ujął w dłonie oba łokcie korespondenta i jął nimi potrząsać: — Nie tylko bekać, ssać, cmokać, dzielny obrońco ciszy teatralnej!..., ale... ćkać, czkać, ćpać, siorbać, mlaskać, źreć, kałapućkać".

Trzusło roześmiał się.

— To bardzo dobre słowo to „kałapućkać"! Czy można je wypożyczyć?

— Ależ nie tylko pożyczajcie, ale bierzcie jak swoje... Mowa przecież nie jest przedmiotem prywatnej akumulacji! jest własnością wspólną!

Trzusło zaostrzył bojowość artykułu nowymi wyrażeniami i zacisnąwszy pięść, począł nią bić w kolano Pierzchały: — „A więc gdy tak zaczęli nie tylko kichać, charkać, bekać, ssać, cmokać, ale i mlaskać, siorbać, czkać, ćkać, ćpać, źreć, kałapućkać, mój sąsiad powiedział: — To nie mogą być „nasi"... To jakaś rozpuszczona miejska łobuzeria!

I w rzeczy samej tak było: w świetle pokazało się, że ci spóźnialscy to łobuziska w marynarach szytych z pokątnie tkanego materiału, które przyszły do teatru jedynie w celach sportowych: aby obejrzeć pojedynek Sempolińskiego-Czkawki, z Walterem: Andrzejem Chudogębskim; patrzeć jak Czkawka pluje z drzewa na głowę świętoszkowatego Malwolia".

Korespondent zatarł ręce. — Do tej chwili było dobre, kolego przewodniczący?

— Bardzo dobre było uderzenie. Frontalne i jak to mówią — nieperyferyjne...!

Korespondent podgarnął czuprynę. — „A teraz rzućmy kilka pytań pod adresem teatralnej publiczności... Pierwsze pytanie. Jeśli niektórzy przedstawiciele naszego mieszczańskiego półświatka przychodzą do teatru tylko po to, aby zjeść kolację na widowni, to dlaczego nikt tych ludzi nie nakłoni, aby posiłki przyjmowali bezdźwiękowo?... Drugie pytanie: jeśli na salę koncertową nikt po gongu nie może być wpuszczony, (z wyjątkiem strażaków), to dlaczego na balkony teatrów wpuszcza się po trzecim dzwonku ludzi, którzy nawet nie są strażakami?"

— Słuszne pytanie i bardzo mocne — pochwalił Pierzchała.

— Trzecie pytanie: — zapalił się Trzusło — „Jeśli w niektórych naszych teatrach nie tylko krzesła skrzypią, ale to samo czynią deski podłóg, to czy nie warto by tych urządzeń naoliwić?... Czwarte pytanie: A jeśli nie da się ich naoliwić, to czy nie można naoliwić ludzkich siedzeń?"

Pierzchała poklepał Trzusłę po ramieniu: — Robicie postępy. Trzusło!... Ostatni wasz najazd na działalność kulturalno-oświatową związków był mało bojowy! I jak by to powiedzieć, za mało dofajnowany... Ten jest owszem, niczego sobie!

Trzusło skrzywił się.

— Ale... tego... jak by to powiedzieć?... Czy troszeczkę nie przesoliłem? — Nie jest w tym uderzeniu przesolone. Sól attycka w krytyce być musi! Artykuł bez tej soli to zwyczajne flaki bez pieprzu.

— Ale czy trochę nie dosadne? Chodzi mi o te przyrządy do siedzenia... Każdy będzie wiedział, że masz na myśli tyłki...

Pierzchała uśmiechnął się. — Każdy wyraz, proszę was, ma swoją normę... Ja bym tu na waszym miejscu, zamiast tych przyrządów do siedzenia, użył nawet czegoś mocniejszego... Nie tyłka, ale coś na „d".

.....

Już księżyc czerwony jak twarz Andrzeja Chudogębskiego z „Wieczoru Trzech Króli" wschodził nad Łodzią, już wiatr znużony całodzienną bieganiną, ułożył się do snu, już syreny piały na trzecią zmianę, a korespondent Trzusło wciąż jeszcze nie był zdecydowany, czy użyć tego mocnego zdecydowanego uderzenia w kierunku wiadomym... Wreszcie jeszcze raz pomyślał o „Wieczorze Trzech Króli", jeszcze raz przypomniał sobie teatralnych nygusów, gniotących orzechy w czasie przedstawień i zaczął smolić takie siarczyste satyryczne zakończenie, że księżyc chociaż artykuł nie był wycelowany w jego siedzenie, schował się ze strachu za murami fabryki.

Okolica starszego kolegi

(Dokończenie ze str. 9)

Aresztowani poczęli wreszcie rozumieć sytuację. Zimny, więzienny pokój zamienił się napowrót w gabinet miłego, starszego pana w granatowym mundurze majora. A to dopiero cwaniak z Lutowieckiego. Ktoby pomyślał, że taki sztywniak wykaże tyle inteligencji. Srebrna papierośnica Chorwata wędrowała z rąk do rąk. Śmiał się pan major, aresztowani, śmiał się z ram portretu generał. Racibor usiadł na fotelu, założył nogę na nogę.

— To był dobry kawał, panie majorze, co?

— Jak bich me, magistrat skończy teraz szybko ten przybytek rozkoszy, odrobina krytyki nie zawadzi, a warto się przecież wysiusiać przed maturą, prawda panie majorze?

— Prawda staruszku, musimy przecież skończyć z chodzeniem za stodołę, trzeba się zbliżyć do Europy.

— Ta władza naprawdę jest silna, której posłuszni ludzie są weseli powiedział znakomity Liwiusz — Chorwat zatrzasnął pustą papierośnicę.

— Wesołe z was staruszki i inteligentne, pomogliście magistratowi przez poruszenie opinii — major Krawczyński wyglądał na człowieka szczęśliwego — a niech pan pozdrowi ojca w moim imieniu, panie Lutowiecki, będę miał zresztą za kilka dni przyjemność pogratulowania mu syna na odprawie. A z tym ładnym Kwiatkiem pogadamy sobie jeszcze dziś. Trzeba go odesłać do Pacanowa.

Wybiegli z komisariatu. Byli więźniowie polityczni przywróceni cudownie światu — dyplomata, Judym, oficer sztabu generalnego, kierownik szkoły podskakiwali z radości. Skręcili na skwerek. Gęstniała lepka, wilgotna mgła, ledwie widoczne lampy sączyły blade światło. Bohaterem dnia był mały Lutowiecki. Ściskali go, poklepywali, całowali, nosili na rękach.

— Nie ma o czym mówić, panowie — bronił się skromnie przed wyrazami uznania — arystokracja zwykła płacić honorowe długi, zwłaszcza długi zaciągnięte u przyjaznych nam demokratów. Za ocalenie Księcia z rąk Buczackiego, oddajemy wam tego barana Kwiatka.

Wszyscy wiedzieli dobrze, że teraz zabierze głos Chorwat. Tak się też stało.

— Przyjmujemy dobrodziejstwa z myślą, że się odwdzięczymy większymi, powtórzmy tę budującą myśl za Demokrytem.

Toneli w puszystej mgle i właściwie dopiero teraz poczuli zimno.

(D.c.n.)

Najostrzejsze ołówki świata

GEBE

Oto rysownik, o którym jeszcze niedawno nikt nie słyszał — Francuz GEBE. Pod kryptonimem tym kryje się 29-letni Georges Blondeuax, z zawodu kreślarz.

Blondeaux nigdy nie przypuszczał, że zdobędzie laury humorysty i że uznany zostanie za jeden z najbardziej obiecujących talentów. Kiedy niespełna dwa lata temu wydrukował pierwsze rysunki w „Ici Paris", od razu zwrócili nań uwagę redaktorzy poważniejszych magazynów. Dowcipy Gebe zdecydowanie wyróżniały się w masie tuzinkowych konceptów, zapełniających łamy tego popularnego tygodnika. Obecnie Blondeaux drukuje swe żarty głównie w reprezentacyjnym magazynie — „Paris Match", w „Le Rire" — a często i w pismach literackich.

Powszechnie mówi się, że Gebe lansuje we Francji szkołę „czarnego humoru", a więc ten typ dowcipu, który bazuje na sytuacjach niesamowitych. Blondeaux jest jednak znacznie bardziej okrutny od swych amerykańskich mistrzów. Można go co najwyżej porównać do Virgila Partcha. Lecz o ile tamten operuje stuprocentowym nieprawdopodobieństwem — to Gebe ukazuje zdarzenia w zasadzie prawdopodobne. I skutkiem tego — jeszcze bardziej przerażające.

Oczywiście — dowcipy te nie w każdym znajdą amatora. Nam się podobają — ze względu na czysty, precyzyjny rysunek, a zwłaszcza — zręczne, zaskakujące pomysły. Dobre żarty na upalne dni: mrożą krew w żyłach...

(jert)

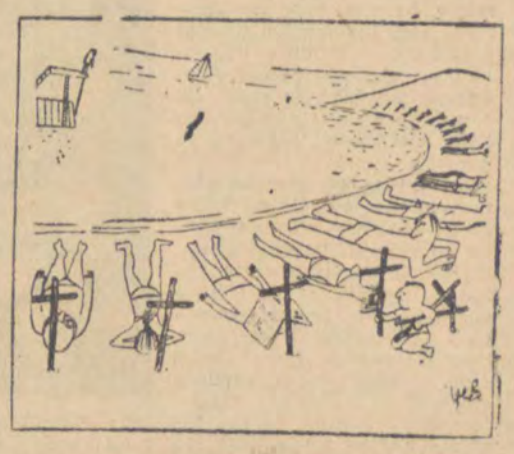

NASZA KRZYŻÓWKA

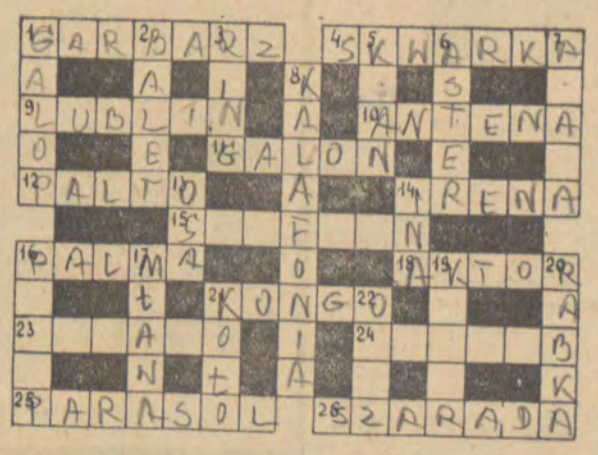

Znaczenie wyrazów:

POZIOMO: — 1) Wyprawia skóry zwierzęce, 4) Usmażony kawałek słoniny, 9) Miasto wojewódzkie, 10) Wzmacnia odbiór audycji radiowych 11) Naszywka lub miara objętości, 12) Płaszcz, 14) Imię żeńskie, 15) Roślina uprawna, z której otrzymuje się żółty proszek do barwienia, 16) Kokosowa, 18) Artysta dramatyczny, 21) Rzeka w Afryce równikowej, 23) Łączne przechodzenie od nuty do nuty przy wykonywaniu utworu muzycznego, 24) Drzewo rosnące w Afryce podzwrotnikowej, 25) Noś i przy pogodzie, 26) Rozrywka umysłowa.

PIONOWO: — 1) Szybki bieg konia, 2) Zespół tancerek i tancerzy, 3) Miejsce dla boksujących się, 5) Dźwig, 6) Kwiat, 7) Papuga, 8) Służy do pocierania smyczka, 13) Owad, 14) Przepływa przez Stargard, 16) Żyjątko morskie, 17) Miasto powiatowe w województwie warszawskim, 19) Zwierzę domowe, 20) Stacja klimatyczna i zdrojowisko w powiecie nowotarskim, 21) Płaska figura geometryczna, 22) Dopływ Warty.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie

Rozwiązanie krzyżówki.

Poziomo: — szczerość, woal, Iran, amarant, kwit, baza, Barbara, wino, beza, zastawa, oczy, [illegible], katarakta.

Pionowo: — Zola, reja, świt, Kozienice, fanaberia, Skawa, Mława, rabat, Narew, zapas, Żyta, sowa, Azja, atut.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Henryk Jeżak**, Pabianice, ul. Armii Czerwonej 40 m. 14.
2. **Grzegorz Kalisiak**, Łódź, ul. Zakątna 67.

„TRYPTYK O LENINIE"

Godną uznania inicjatywę wykazała łódzka Centrala Wynajmu Filmów i OZK. Łódź, jako drugie miasto po stolicy, miało możność obejrzeć „Tryptyk o Leninie" — filmowe widowisko wyświetlane na trzech ekranach.

Scenarzysta i reżyser Adam Hanuszkiewicz znakomicie pogodził wartości ideowe z nową formą widowiska, dotąd u nas nieznaną. Cytaty z dzieł Lenina, z jego korespondencji, przemówień, ze wspomnień ludzi mu współczesnych uzupełniają potrójny obraz filmowy a całość została bardzo dobrze zmontowana i zsynchronizowana. Opracowanie muzyczne J. Patkowskiego nie stanowi tylko schematycznej ilustracji muzycznej, ale jest bardzo ważnym elementem dramatycznym.

Projekcja z trzech aparatów daje efekty zupełnie nowe. Szczególnie wiele ekspresji posiadają fragmenty części pierwszej ukazującej czasy Rewolucji Październikowej. Świetne są np. zestawienia lotu gołębi z lotem samolotów, czy też rzutowanie tych samych fragmentów filmu na dwa ekrany lecz z odwróconej kopii (co lewe, to prawe — i odwrotnie). Teksty Lenina i o Leninie w interpretacji Zofii Małynicz, Aleksandra Bardiniego, Władysława Krasnowieckiego i Jana Kreczmara nabrały jędrności i siły dramatycznej, stały się równoważnym elementem obok obrazu i muzyki.

„Tryptyk o Leninie", nowa forma wypowiedzi filmowej, jest również bardzo żywą i nieschematyczną wypowiedzią ideową.

A. N.

P.S. „Tryptyk o Leninie" wyświetlany był w kinie „Bałtyk" tylko przez cztery dni. Czy nie za krótko?

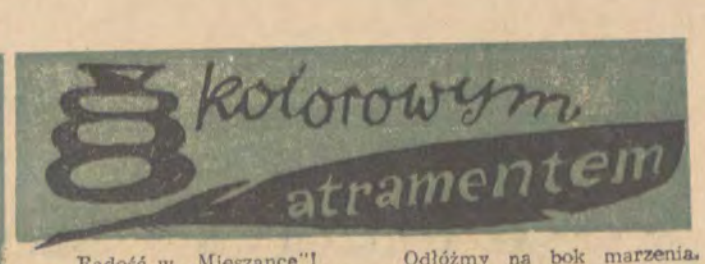

Radość w „Mieszance"!

Sprawę — o której mowa poniżej — walkowaliśmy systematycznie już od sześciu miesięcy. Od grudnia ubiegłego roku używaliśmy wszelkiego rodzaju argumentów. Otrzymaliśmy wiele listów od czytelników, którzy popierali nasze stanowisko. Aż wreszcie — Okręgowy Zarząd Kin przełamał ostatecznie własną bierność i asekuranctwo.

Od niedzieli czynne jest w Łodzi Kino Aktualności.

Już sam fakt powstania tak uparcie postulowanego przez nas kina — sprawia niemałą satysfakcję. Dodajmy, że uwzględniono też nasze bardziej szczegółowe życzenia: oddano na ten cel salę w śródmieściu („Adrię"), wprowadzono system wyświetlania „non stop" — każdy widz może wejść i wyjść w dowolnej porze każdego seansu.

To byłoby niemal wszystko.

Niemal... właśnie o to jedno słówko chodzi. Na inauguracje kina pokazano zestaw filmów niezłych, lecz przecież nie najwybitniejszych spośród tych, które są obecnie w dyspozycji CWF i OZK. Marzył nam się na początek taki np. zestaw tytułów: dokument „Typy na dziś", film publicystyczny — „Polacy nie gęsi", oświatowy — „Modlisz ka", oraz animowany „Zmiana warty". Cztery najlepsze krótkometrażówki polskie roku 1959 nagrodzone przez warszawskie jury..

Odłóżmy na bok marzenia. Wcale niekoniecznie trzeba w jednym programie prezentować samych laureatów. Chodzi jednak generalnie o sprawę REPERTUARU, który w tego typu kinie musi być zestawiony szczególnie troskliwie. System „non stop" nie oznacza wcale, że widz może opuścić salę, jeśli mu się pokaże film n u d n y. Tu nie powinno być nudy. „Aktualności" muszą mieć naprawdę „delikatesowy" repertuar!

Cytujem samych siebie:

„... wachlarz tematyczny naszych wytwórni jest dostatecznie urozmaicony... przeciętna jakość polskich krótkometrażówek niebywale wzrosła... wzrosła produkcja filmów animowanych, oraz nietypowych odmian — tzw. filmów eksperymentalnych... sprowadzamy z zagranicy znacznie więcej tytułów — i to rzeczywiście interesujących... mamy nieodkryty rezerwuar niebanalnych i różnych pozycji w firmie p. n. Wyższa Szkoła Filmowa..." (cyt. felietonu z g nia ub. r.).

A więc jest z czego tworzyć naprawdę ciekawe zestawy!

Najmilsi w OZK! Darujcie, że zaglądamy w zęby darowanemu koniowi... Czynimy tak w interesie widzów i — w dobrze zrozumianym interesie waszych planów finansowych.

Wszystkiego najlepszego wskrzeszonym „Aktualnościom"!

J. W.

„U progu ciemności"

Młoda kobieta zastrzeliła w afekcie rywalkę. Przez dwa tygodnie oczekuje w celi śmierci — albo na wykonanie wyroku, albo na ułaskawienie. Luksusowo niemal urządzone więzienie angielskie: strażniczki pełniące jednocześnie funkcje pań do towarzystwa, łazienka, lekarz, manicure... Słowem, sanatorium.

Film ten jest niejako głosem w toczącej się od kilku lat na całym świecie dyskusji przeciwko karze śmierci. Z jednej strony usiłuje pokazać bezsens sytuacji skazanej kobiety, bezsens wszelkich zabiegów kulturalno-cywilizacyjnych stosowanych wobec niej w przededniu śmierci, z drugiej znowu strony — usiłuje, po raz nie wiem który, udowodnić, że pojęcie winy jest czymś bardzo subiektywnym i niewymiernym.

Gdyby „U progu ciemności" realizował Andree Cayatte, byłby to zapewne dobry, mocny film publicystyczny. Niestety, reżyserem jest ktoś inny (Thompson). Pierwszy z zasygnalizowanych wyżej problemów podany jest niewyczerpująco, zbyt słodko, drugi natomiast — to rozgadane, kiczowate retrospekcje, nakręcone z wyraźną myślą o kasowości filmu.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

NA TARGOWEJ...

Obok znanych łódzkich wytwórni filmowych, istnieje w naszym mieście jeszcze jeden ośrodek produkcyjny, o którym bardzo mało się pisze. A przecież — rocznie produkuje się tutaj przeciętnie od 50—60 filmów po około 400 m. Daje to 24 tysiące metrów taśmy, czyli odpowiada rozmiarom 8 filmów pełnometrażowych. W ośrodku produkcyjnym Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej realizuje się filmy fabularne — aktorskie i animowane, dokumentalne i tak zwane eksperymentalne, czarno-białe i kolorowe, normalno-ekranowe i panoramiczne.

Filmy PWSTiF oglądamy na ekranach bardzo rzadko, zazwyczaj raz do roku na przeglądach. Wiele z tych etiud szkolnych jak na przykład „Dwóch ludzi z szafą" Polańskiego, uzyskało najwyższe wyróżnienia i nagrody za granicą.

Rok akademicki 1959/60 dobiega końca. W Szkole Filmowej trwa sesja egzaminacyjna. Trwają też końcowe prace nad realizacją szkolnych etiud.

A oto niektóre z nich, będące na ukończeniu. —

Autor nagrodzonego filmu „Rondo" — Janusz Majewski zdał już wszystkie egzaminy i kończy wraz z operatorem Januszem Pawłowskim film dyplomowy pt. „MOST". Jest to realistyczna opowieść z czasów ostatniej wojny, ukazująca los skazanego na śmierć dezertera niemieckiego.

Intensywnie pracują studenci III roku Wydziału Reżyserskiego, którzy kończą swe filmy absolutoryjne. Oczywiście udział w ich realizacji biorą też operatorzy oraz koleżanki i koledzy z Wydziału Aktorskiego.

Znana autorka tekstów z Warszawskiego STSu — Agnieszka Osiecka, realizuje wraz z operatorem Zofią Nasierowską film absolutoryjny zatytułowany „BAR LISTOPAD". Jest to poetycka impresja filmowa na temat ludzkich marzeń i pragnień, które niestety spełniają się bardzo rzadko.

Podobną w nastroju etiudę „PORTRET MŁODEGO MĘŻCZYZNY" według własnego scenariusza kręci Witold Leszczyński. Autorami zdjęć są: Andrzej Kostenko i Mieczysław Małysz.

Obok polskich kolegów realizują swe szkolne filmy goście z Bułgarii.

Studium psychologiczne człowieka, oskarżonego i postawionego przed sądem pokaże w swojej etiudzie Władysław Ikonomow. Tytuł filmu brzmi „UKŁADY PRZYPADKOWE". Operatorem jest Jacek Stachlewski, a wykonawcą roli głównej Leon Niemczyk, znany z „Pociągu" i innych polskich filmów.

Z etiudy „Hotel Metropole"

Drugi przybysz z Bułgarii — Wasyl Mirczew kręci wraz z operatorami: Andrzejem Kondratiukiem i Jackiem Stachlewskim — film o pracy ZMS-u, Mirczew jest autorem dwóch znanych już etiud: reportażu z ubiegłorocznych krakowskich juwenalii, oraz filmu — plakatu „Sen", w stylu podobnego do znanego filmu reżysera Makarczyńskiego „Życie jest piękne".

Tematem etiudy Andrzeja Trzosa i operatora Krzysztofa Malkiewicza są groteskowe stosunki w wojsku i tak zwany dryl wojskowy. Etiuda „DOWCIP KAPITANA KIRYLY'A" jest adaptacją opowiadania Worcella.

W ośrodku produkcyjnym Szkoły powstaje także kolorowy film animowany pt. „KONFLIKTY", którego autorami są Daniel Szczechura i Stanisław Śliskowski.

Jednym z zadań szkoły jest również wykształcenie przyszłych pracowników telewizji. Dlatego też w programie studiów przewidziano realizacje filmów telewizyjnych. Na pierwszy ogień poszły opowiadania Stanisława Dygata z tomu „Pola Elizejskie". Tak więc autor „Jeziora Bodeńskiego" i „Podróży", stał się najbardziej „telewizyjnym" pisarzem. Przypomnieć należy adaptacje telewizyjne tych dwóch powieści zrealizowane przez prof. Stanisława Wohla — dziekana Wydziału Operatorskiego.

Opowiadanie „ZWIERZĘTA FUTERKOWE" realizuje dla potrzeb telewizji Agnieszka Osiecka z Zofią Nasierowską. „Hotel Metropol" posłużył do realizacji telewizyjnego filmu — Marianowi Chwedczukowi i Władysławowi Ikonomowowi. Autorem zdjęć jest Andrzej Kostenko.

„JAN MAJEWSKI WYRUSZA NA WOJNĘ" — to tytuł opowiadania Dygata, którego adaptacji dokonali: Włodzimierz Kamiński (autor bardzo dobrej etiudy „Misterium") i operator Janusz Pawłowski. Wreszcie Stanisław Olejniczak wraz z Romualdem Faratem kończą telewizyjną etiudę, pt. „LOTNIK, CYWIL, PIECHUR I DZIEWCZYNA Z BURMY".

Część z tych wymienionych etiud być może wejdzie jeszcze do zestawu filmów szkolnych, których przegląd organizuje szkoła z okazji odbywającego się III Kongresu Międzynarodowej Federacji Szkół Filmowych i Telewizyjnych. Gorąco zapraszamy więc wszystkich sympatyków szkoły do odwiedzenia gmachu PWSTiF przy ul. Targowej 61, gdzie oprócz projekcji etiud szkolnych można będzie obejrzeć ekspozycję prac malarskich wykonanych przez studentów.

A. NIEŚMIAŁEK

(zdjęcia — ANDRZEJ KOSTENKO).

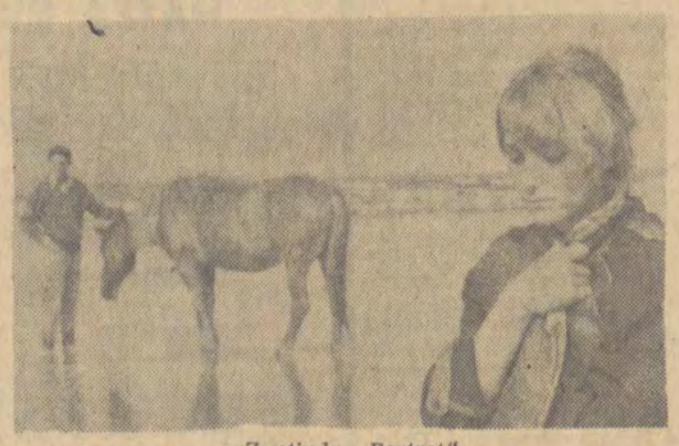

Z etiudy „Portret"

Wanda z „Szatana"

marzy o... dziennikarstwie

Jak już informowaliśmy jedną z czołowych postaci w „Szatanie z siódmej klasy" — filmie realizowanym przez Marię Kaniewską na podstawie znanej powieści Makuszyńskiego — zagra osiemnastoletnia Pola Raksa. Nie jest ona — o czym świadczy choćby wiek — zawodową aktorką.

— *Ciekawi jesteśmy czym się Pani dotychczas zajmowała?* — zapytuję Polę Raksę w czasie przerwy na hali zdjęciowej.

— Dotychczas studiowałam. A właściwie ciągle studiuję filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Rolę Wandy Gąsowskiej w „Szatanie z siódmej klasy" traktuję tylko jako fascynującą przygodę. Nie myślę poważnie o karierze gwiazdy filmowej. Do filmu dostałam się zresztą zupełnie przypadkowo: pewien fotoreporter podszedł do mnie po prostu na ulicy, poprosił, abym mu pozowała — zdjęcie zamieścił potem w konkursowej rubryce „Dookoła świata".

— *Jakie są wobec tego pani plany życiowe?*

— Interesuje mnie dziennikarstwo: chciałabym zostać dobrą dziennikarką.

— *Jak się Pani czuje przed kamerą?* —

— Coraz lepiej.

— *A w ogóle w Łodzi?*

Nie chciałabym urazić łodzian, ale to miasto jest chyba trochę ponure. Cieszę się więc, że wkrótce wyjeżdżamy na plenery do Łącka.

Rozmawiał
T. Ż.

Za tydzień w „MIESZANCE":

KORESPONDENCJA Z PARYŻA WŁODZIMIERZA KRYSIŃSKIEGO